

ALFRED HITCHCOCK

JAK W KOMIKSIE...

NOWE PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: IWONA LIBUCHA)

ROZDZIAŁ 1

KOMIKSY!

- A to co?

Jupiter Jones pochylony nad silnikiem starego chevroleta, przy którym próbował dłużyć, oniemiał ze zdziwienia. Wyprostował się, żeby lepiej wszystko zobaczyć, i z całych sił walnął głową w maskę samochodu.

Jak widać, nawet założycielowi agencji detektywistycznej, cenionemu przez wszystkich za bystry umysł i nadzwyczajny zmysł obserwacji, zdarzają się chwile bolesnej nieuwagi.

Nieświadomym sprawcą całego zamieszania był wuj Tytus, który właśnie wracał z kolejnej kolekcjonerskiej wyprawy.

Tytus Jones był powszechnie znany ze swej skłonności do dziwnych i często bezużytecznych przedmiotów, które walały się później w każdym kącie jego składu staroci. Tym razem jednak wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, że wuj przesadził.

Na sporych rozmiarów ciężarówce stało stado kolorowych, podniszczonych koników, które w lepszych czasach musiały być częścią karuzeli. Obok piętrzyły się stosy długich prętów pomalowanych w jaskrawe paski. Wśród tych rupieci Hans i Konrad, dwaj pomocnicy wuja, wyginali się na wszystkie strony - jakimś cudem kręcąc hula hop. Sam wuj Tytus siedział za kierownicą samochodu, w futrzanej traperskiej czapce z ogonem szopa spadającym na czoło.

Było na co popatrzeć! Jupiter odgarnął włosy z oczu i z niedowierzaniem przyglądał się niecodziennemu widokowi. Teraz pozostawało tylko czekać na reakcję ciotki. Rozglądając się za nią. Jupiter wysunął się spod maski chevroleta na tyle niezgrabnie, że potracił łokciem puszkę oleju silnikowego, który z łagodnym bulgotem zaczął spływać w dół.

- Faj! - rozległo się spod samochodu.

Pete Crenshaw, przyjaciel Jupitera i jeden ze współpracowników założonej przez niego agencji "Trzej Detektywi", wypadł jak strzała z kanału. Mimo wysokiego wzrostu i wysportowanej sylwetki nie prezentował się w tej chwili najlepiej. Olej spływał tłustymi stróżkami po jego twarzy i rudawych włosach. Pete, przechylony przez poręcz, usiłował wypluć to, co nalało mu się do ust.

- Dlaczego zacząłeś nalewać, zanim zakręciłem korek?! - krzyknął do Jupitera.

Pete, wielbiciel używanych samochodów, liczył, że całkowita zmiana oleju uzdrowi

silnik jego najnowszego nabytku. Teraz, kiedy Jupiter wylał całą zawartość puszkę, sprawdzenie, na ile skuteczny jest ten pomysł, stało się niemożliwe.

- Przepraszam - Jupiter złapał puszkę - ale nie byłem w stanie się skupić.

- A to dlaczego? Wybuchła trzecia wojna światowa czy co?

W tym momencie Pete zauważył wysoką, postawną kobietę, która energicznym krokiem podchodziła do ciężarówki.

- Kto wie, czy zaraz nie wybuchnie - powiedział szybko.

- Tytusie Jones! - zawołała ciotka Matylda, o której to była mowa. - Skąd przywlokłeś te, te... - z oburzeniem wskazała ręką ciężarówkę - śmieci?!

- To nie są śmieci - zaprotestował wuj Tytus. - To pierwszorzędny materiał. Każdy kolekcjoner pozna się na tym natychmiast.

- Na przykład na tej idiotycznej czapce, którą masz na głowie?

- To autentyczna traperska czapka. Należała kiedyś do Davy'ego Crocketta!

Ciotka Matylda nie zwracała większej uwagi na słowa męża.

- Pierwszorzędny materiał! Dobrze sobie - mruzczała pod nosem. - Hula hop. Kijki do gry w serso. Ciekawe, co upchnęliście do tego kufra?

Z trudem uniosła ciężkie wieko. Zajrzała do środka i oniemiała, wzburzona do najwyższych granic.

- Co! Stare komiksy! Wydajesz pieniądze na coś takiego!

Wprawdzie Jupiter miał sporą nadwagę, jednak kiedy chciał, potrafił szybko biegać. W jednej chwili znalazł się przy ciężarówce, żeby sprawdzić wnętrze kufra. Ciotka Matylda miała rację - był po brzegi wypełniony kolorowymi zeszytami.

- No, no. Ten facet musiał naprawdę być wielbicielem komiksów - gwizdnął Pete, zaglądając mu przez ramię.

- Niektóre są naprawdę stare. Chyba leżą tu od lat. Ile forsy masz przy sobie? - Jupiter niespodzianie zwrócił się do Pete'a.

- Nie za wiele - Pete skrupulatnie przeszukał zawartość kieszeni.

- Chłopaki, co tam macie? - W bramie pojawiła się wysoka postać z blond czupryną.

Bob, detektyw numer trzy, już od wejścia szczerzył się do kolegów. Opalony i wymuskany, w białej koszulce polo i odprasowanych spodniach khaki prezentował się wspaniale. Jupiter nie mógł się nadziwić, że Bob jest sam. Odkąd przyjaciel zamienił okulary na szkła kontaktowe, klub jego wielbicielów powiększył się co najmniej dwukrotnie. Zawsze można było znaleźć w pobliżu którąś z nich. Bywało, że godzinami wystawały przed podwórzem wuja Tytusa w nadziei, że Bob się tam pojawi.

- Ile masz pieniędzy? - rzucił Jupiter.

- Pytasz w kiepskiej chwili - Bob wsadził rękę do kieszeni. - Na co potrzebujesz?

- Chcę kupić kilka komiksów - uśmiechnął się Jupiter w odpowiedzi.

Ciotka Matylda wciąż przerzucała zawartość kufra.

- Niektóre z nich mogą być coś warte. Ale skąd mogę wiedzieć które? A poza tym - gdzie znajdziemy amatorów komiksów?

- Są tutaj - Jupiter wyrwał pieniądze obu kolegom, dołożył to, co sam miał w kieszeni, i szybko przeliczył. - Mam... jedną chwileczka.. Mam dwadzieścia jeden dolarów i siedemnaście centów. Co ty na to, ciociu M.? Biorę wszystko i zdejmuję ci kłopot z głowy.

- W porządku! - ciotka porwała pieniądze i rzuciła twarde spojrzenie mężowi, który wyglądał, jakby miał zamiar protestować.

Jupiterowi nie poszło tak łatwo.

- Pożyczyłeś od nas pieniądze, żeby to kupić! - wściekał się Bob, kiedy ściągali z przyczepy ciężkie pudło.

- Zmarnowałeś dziś kupę forsy - dodał Pete. - Najpierw wylałeś mi na głowę całą puszkę oleju, a teraz to!

- Mówisz, że to olej silnikowy - Bob pochylił się, żeby powąchać włosy Pete'a. - A ja myślałem, że lansujesz jakiś nowy gatunek brylantyny.

- Gdybyście łaskawie przestali się wygłupiać, wyjaśniłbym wam szczegóły naszej wspaniałej inwestycji.

- Wspaniałej inwestycji? - zdziwił się Bob.

- Zobaczcie, że pomnożymy pieniądze, które w to włożyliśmy - Jupiter poklepał kufer. - Wszystko zależy od tego, co znajdziemy w środku.

- Mówisz o tej makulaturze? - kręcił głową Pete.

- Ukryty skarb - upierał się Jupiter. - Nawet nie wiecie, ile warte są niekiedy stare komiksy. Słyszałem, że za niektóre egzemplarze kolekcjonerzy płacą nawet tysiąc dolarów.

- Tysiąc! - Bob gapił się na zamknięte pudło.

- Oczywiście nie wiadomo, co tam naprawdę jest - powiedział Jupiter ostrożniejszym tonem. - Możemy znaleźć rzeczy warte zaledwie kilka setek. Ale mam przecucie - Zatarł rękę z zadowoloną miną - że mnie uda się kupić za to samochód. Wszystko, co zarobimy, dzielimy na trzy równe części, zgoda?

Wieczorem w następny piątek pojechali w trójkę do Centrum Los Angeles. W ostatnich czasach rzadko wspólnie spędzali weekendy. Tym razem Pete był wolny, gdyż jego

dziewczyna, Kelly Madigan, prowadziła obóz dla młodego narybku grupy dopingującej szkolną drużynę futbolową. Bob, pracujący dla agencji Saxa Sendlera, która trudniła się wyszukiwaniem i promowaniem młodych talentów rocka, miał kilka dni urlopu. Jupiter z kolei skończył właśnie komputerową inwentaryzację wszystkiego, co w swoim składzie zdołał zgromadzić wuj Tytus.

- Wiesz, Jupe - Pete zerknął w lusterko, żeby sprawdzić, czy i nie zmniejszył się aby ogon czarnego dymu, który zostawiał za sobą jego chevrolet - ten olej, który wylałeś na silnik, nie może za nic się wypalić. I przysięgam wam, że moje włosy do dzisiaj cuchną tym świństwem.

- Nie narzekaj. Ja omal nie oślepiłem przy sortowaniu tych idiotycznych komiksów - powiedział Bob. - To było gorsze niż moja dawna praca w bibliotece. Jupe, mądrała, tylko szacował, ile są warte.

- Przeglądanie komiksów to bardzo sympatyczne zajęcie. Wiecie - rozmarzył się Pete - wiele z nich pamiętam z dzieciństwa. Taki na przykład Szkarłatny Upiór... To była zawsze moja ulubiona postać.

- Dobry jesteś. Możesz sobie pozwolić na rzewne wspomnienia z dzieciństwa - parsknął Bob - bo nie ruszyłeś nawet palcem, żeby nam pomóc. Chodziłeś sobie na randki z Kelly i nic cię nie obchodziło. A Jupiter nie miał odwagi jej powiedzieć, żeby trochę ograniczyła swoje życie towarzyskie!

Kelly Madigan okazała się osobą twardą - nie tylko zręcznie wyluskała Pete'a z ich grupy, ale także skutecznie zajęła większość jego wolnego czasu.

Bob rzucił ponure spojrzenie na komiksy.

- Kilka dni całkiem z głowy! - powiedział i kopnął wielkie pudło, w którym je trzymali.

- Uwważaj! - Jupiter popatrzył z troską na karton. - Chyba nie chcesz zniszczyć takiego cennego towaru. Wieziemy samą śmietankę, najcenniejsze egzemplarze. Muszą być w jako takim stanie, jeśli zamierzamy je sprzedać na Kongresie Miłośników Komiksów.

- Zróbmy to jak najprędzej. Chcę odzyskać forszę - Bob nie przestawał narzekać. - Całe szczęście, że zauważyłeś w gazecie notatkę o tym kongresie!

- Bob, mam propozycję, która powinna poprawić ci humor - zaśmiał się Jupiter. - Będziesz skarbnikiem. Ktoś musi przecież zajmować się pieniędzmi.

- Jesteśmy na miejscu - obwieścił Pete. - Hotel Grand Plaza.

Spojrzeli na wieżowiec z błyszczącego szkła, w którym odbijało się błękitne niebo.

- Niezłe miejsce jak na spotkanie wielbicieli komiksów - zdziwił się Bob.

- Jest sierpień. Żar leje się z nieba. Pewnie są szczęśliwi, że ktoś w ogóle zorganizował jakąś konferencję o tej porze roku. Parkujemy. Trzeba się zorientować, gdzie to jest - zadysponował Jupiter.

Wjechali na parking w podziemiach hotelu. Las betonowych słupów, podtrzymujących cały budynek, wyglądał wyjątkowo ponuro. Nie pomogły starania dyrekcji hotelu, żeby chociaż trochę ożywić to miejsce. Nawet jaskrawe farby, którymi pomalowano filary i sufit, nie były w stanie zmienić przygnębiającego wrażenia, jakie sprawiała wielka pusta przestrzeń poprzecinana cieniami rzucanymi przez słupy.

- Ostatni przystanek - Pete zaparkował. - Wsiadka.

- Mamy tu małą robótkę dla silnego człowieka - powiedział Bob, próbując wyjąć pudło z samochodu.

- Zejdź ze mnie. Bob - zaprotestował Pete. - Ja was tu przywiozłem.

- Też mógłbym to zrobić - nie ustępował Bob.

- Nie zmieścilibyśmy się w twoim garbusie. Albo Jupe, albo karton z komiksami.

Inaczej by się nie dało.

Jupiter popatrzył na obu przyjaciół.

- Ja to wezmę - powiedział łapiąc pudło. - Jestem w świetnej formie po całym roku dżudo.

- Byłbyś w lepszej, gdybyś zapisał się z nami na karate.

- Nieprawda - sapnął Jupiter, pospiesznie zmierzając do windy.

Drzwi otworzyły się natychmiast po naciśnięciu guzika. Władowali się do środka, kiedy usłyszeli szybkie kroki. Ktoś biegł, żeby złapać windę. W zwężającej się szparze pojawiła się czyjaś ręka i prawie natychmiast drzwi się rozsunęły. Przed nimi stanął człowiek, któremu żywe mięso wylewało się spod skóry.

ROZDZIAŁ 2

UBIJMY INTERES

Kiedy przerażający osobnik wskoczył do windy, pudło z komiksami wypadło Jupiterowi z rąk.

- Przepraszam - powiedział nieświadomy wrażenia, jakie zrobił, i złapał pudło w powietrzu. - Co jest? - zdziwił się, kiedy trzech chłopcy cofnęli się ze zgrozą.

Nagle uświadomił sobie, jak wygląda, i uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem. Mój kostium!

Złapał szczególnie paskudny kawałek tłustego ciała, ściekający mu z ramienia, mówiąc:

- Lateks. Jestem przebrany za Szkaradny Wyciek. I co o tym myślicie?

- Bardzo re...realistyczny - zdołał wyjąkać Jupiter.

Winda zatrzymała się w holu.

- Muszę lecieć - Szkaradny Wyciek machnął im ręką na pożegnanie i zniknął w tłumie.

W głębi wyłożonego marmurami holu znajdowała się błyszcząca chromem recepcja. Na blacie ustawiono tablicę ze strzałką i napisem: "KonMiKom - główna sala konferencyjna".

- Jak na poważnym kongresie - zdziwił się Jupiter.

Poszli we wskazanym kierunku i po kilku krokach natknęli się na długą kolejkę stojącą przed zwyczajnym drewnianym stołem, za którym siedziała dziewczyna w czarnym podkoszulku z wielkim białym napisem "KonMiKom - obsługa techniczna". Miała tlenione blond włosy z kilkucentymetrowymi ciemnymi odrostami.

- Wstęp dziesięć dolarów od osoby - oznajmiła surowym tonem, kiedy wreszcie dotarli do stołu.

Wzięła pieniądze i każdemu z nich przybiła pieczętkę na wierzchu prawej dłoni. Jupiter zauważył, że dwukolorowa marudziła przy ręce Boba dłużej niż było to konieczne, a nawet się uśmiechnęła.

- Gdyby tak dało się złapać do butelki to coś, czym on uwodzi dziewczyny - mruknął Pete.

- Chyba kupiłbym całą skrzynkę - westchnął Jupiter i zaczął uważnie studiować znaczek na dłoni.

Czarne litery układały się w napis "KonMiKom - dzień 1".

- Sprytne - powiedział do Pete'a. - Lepsze niż bilet. Nie można wyjść i oddać nikomu innemu.

Dogonili Boba przy drzwiach do sali konferencyjnej, gdzie drogę zastąpił im kolejny oryginał w podkoszulku obsługi kongresu. Dokładnie sprawdził stemple na ich dłoniach, potem uśmiechnął się odsłaniając przy okazji ułamany ząb, i wpuścił do środka. Znaleźli się pośród oszalałego tłumu.

W porównaniu z atmosferą kosztownego spokoju, jaka panowała w holu, sala konferencyjna przywodziła na myśl wschodni bazar. W całym pomieszczeniu ustawiono dziesiątki małych, składanych stolików, na których piętrzyły się stosy komiksów. W głębi każdego z zaimprovizowanych w ten sposób stoisk ustawiono półki i gabloty. Tam, troskliwie zawinięte w plastikowe koszulki, leżały komiksowe białe kruki.

Wszędzie kłębiły się tabuny ludzi. Dorośli i dzieci tłoczyli się nad stosami wydawnictw, przeglądali kolorowe zeszyty, coś kupowali albo sprzedawali lub najzwyczajniej próbowali przebić się w sobie tylko wiadomym kierunku. Od czasu do czasu z tłumu wyskakiwała przebrana postać. Hałas był ogłuszający.

Jupe, Pete i Bob patrzyli na to widowisko kompletnie oszołomieni.

- Musicie być nowi - usłyszeli czyjś głos.

Z chaosu wyłonił się wysoki, chudy rudzielec w firmowym podkoszulku KonMiKom-u.

- Poznałem po waszym wyrazie twarzy - wyszczerzył się do nich. - Witajcie na KonMiKom-ie. Jestem Axel Griswold. Kieruję tym domem wariatów.

Zerknął na pudło, które dźwigał Jupiter.

- Co przynieśliście, chłopaki? - zapytał.

Gdy opowiedzieli mu historię swoich komiksów, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Wszędzie tutaj - rozłożył szeroko ręce - znajdziecie chętnych do zrobienia interesu. Powiem wam, że największa firma na rynku nazywa się Kamikaze Komics. Mają pieniądze i mogą wam nieźle zapłacić. Sprawdźcie. Ich stoisko jest tam - szczipłą, zadbaną dłonią wskazał kierunek.

Przepchali się zgodnie z jego instrukcjami. Po drodze Jupiter zatrzymał się przy małym stoisku i kupił dla wszystkich trzech czerwone podkoszulki z hasłem: "Zakochani w komiksach, kochajcie się jak na obrazku".

W pobliżu Kamikaze Komics przystanęli, żeby rozeznaczyć się w sytuacji. Firma zajmowała zdecydowanie najlepsze miejsce w całej sali. Oferowała wiele produktów. Klienci

przepychali się, żeby być jak najbliżej stoiska, za którym stało aż pięciu sprzedawców. Jeden z nich, młodzieniec z kolczykiem, sprzedawał właśnie komiks małemu dzieciakowi.

- Masz tu "W blasku piorunów", numer trzeci. Tylko cztery dolary.

Na okładce bohater, za pomocą promieni laserowych, które wysyłał z oczu, wypalał wielką dziurę w czołgu.

- Masz szczęście, mały. Wątpię, czy gdzieś tu znajdziesz coś równie cennego.

Uszczęśliwiony dzieciak wręczył sprzedawcy pieniądze i odszedł.

- Przed chwilą na innym stoisku widziałem ten sam komiks za dolara - mruknął Bob do kolegów.

- Pamiętam, że za nowy zapłaciłem kiedyś pięćdziesiąt centów - przypomniał sobie Pete.

Na stoisku Kamikaze Komiks stał także telewizor. Sprzedawca z szopą sterczących, tlenionych na blond włosów trzymał w ręku kasetę wideo z filmem "Asy gwiazdnych przestworzy", najnowszym telewizyjnym serialem science fiction.

- Producenci przesyłają kolejne części filmu z tygodniowym wyprzedzeniem - perorował z przejęciem. - My zgrywamy to wprost z satelity i proszę. Można mieć na własność nowy odcinek, zanim obejrzy go całe miasto.

Uśmiechnął się triumfalnie, kiedy klient - młodzieniec sporo po dwudziestce - wręczył mu pieniądze za kasetę.

- Płaci za coś, co za kilka dni zobaczy za darmo - szepnął Pete.

- A w dodatku kupuje piracką kopię - dodał Bob.

- Wziął go na stary sposób - powiedział cicho Jupiter. - "Będziesz pierwszy w całym mieście". Widać to działa.

- Czym mogę służyć, chłopaki? - zwrócił się do nich tleniony blondyn. - Jeśli nie ubijamy interesu - dorzucił szybko, widząc ich wahanie - to schodźcie z drogi, bo blokujecie dostęp innym.

- Nie - wycofał się Jupiter. - Nie sądzę, żebyśmy mogli razem ubić jakiś interes.

Postanowili odnaleźć miejsce, gdzie Bob zauważył wcześniej tańsze komiksy.

- To było obok wyjścia awaryjnego. Miało jakąś zwariowaną nazwę. Coś ze świrem albo wariatem.

I rzeczywiście. Wprawdzie stoisko miało w nazwie nie świra, tylko szaleńca, ale to o nim właśnie myślał Bob. W "Komikсовym Imperium Szalonego Dana" królował facet o wyglądzie wspaniale pasującym do przydomka. Czarne włosy skręcały mu się nad czołem w dzikim nieładzie, krzaczaste wąsy sterczały jak u morsa.

- Marty, skocz na górę po nowe pudła komiksów - krzyczał właśnie do swojego młodego asystenta.

Potem odwrócił się do ponurego, wysokiego mężczyzny z wianuszkami siwych włosów okalającymi łysinę.

- Pan znowu tu? - zapytał niezbyt uprzejmie.

- Dam trzysta pięćdziesiąt dolców - zaproponował tamten.

- Pięćset.

- Czterysta pięćdziesiąt - ponury najwyraźniej postanowił się targować.

- Sześćset - powiedział twardo Dan.

- Ale ten numer "Qupy śmiechu" jest wyceniony na czterysta pięćdziesiąt. Widziałem cenę na okładce - z rozpaczą w głosie protestował klient.

- Teraz cena wynosi sześćset.

- W porządku! - ponury zacisnął pięści. - Daję sześćset.

- Za długo pan czekał - odpowiedział Dan z szerokim uśmiechem. - Podniosłem do siedmiuset.

Facetowi opadła szczęka.

- Siedemset! - wrzasnął. - Chyba nie chcesz tego sprzedać!

- Tak - odpowiedział Dan. - Dokładniej mówiąc, nie chcę tego sprzedać panu.

- Czy zawsze traktuje pan w ten sposób swoich klientów? - zapytał Jupiter patrząc, jak wściekły łysy pośpiesznie znika w tłumie.

- Tylko drani - brzmiała odpowiedź Szalonego Dana. - Ten facet pracuje dla jednego z największych wydawców komiksów. Też lepszego drania. Zresztą, nieważne - dodał widząc pudło w rękach Jupitera. - Jesteście tu, żeby kupić czy sprzedać?

- Jesteśmy tu, żeby sprzedać - Jupiter otworzył karton.

- No, no. Niektóre rzeczy są całkiem niezłe - Dan z błyskiem w oku przeglądał komiksy. - Kilka egzemplarzy Srebrnej Serii w dobrym stanie, sporo pierwszych wydań... Proponuję wam cztery stowy za całe pudło.

- Co! - Jupiter czuł, że się czerwieni z złości. - Tylko czterysta? To jest warte co najmniej drugie tyle. Wiem, bo sprawdziłem ceny...

- ...w "Poradniku dla zbieraczy" - dokończył Szalony Dan - Pewnie, że tak. Podejrzewam, że według nich to jest warte jeszcze więcej. Jestem ciekawy, czy przeczytałeś, co piszą na początku. Małym drukiem. Wyjaśniają tam, że podają jedynie przybliżoną wartość komiksów, bo ceny wahają się w zależności od miejsca i czasu. Że nie wspomnę o swoim zarobku.

- Ale to czysty rozbój... - zdążył powiedzieć Jupiter, zanim Bob i Pete nie odciągnęli go na bok.

- Nie przesadzaj - próbowali ostudzić jego zapał. - I tak zarobimy mnóstwo pieniędzy. Za jedyne dwadzieścia dolarów!

- Będziemy mieć więcej - zapewnił Jupe. - Trzeba się trochę potargować...

Wrócił do stoiska i już miał zaczynać, kiedy poczuł, że odbiera mu dech z zachwytu. Przed sobą zobaczył błękitno-złote zjawisko.

Zjawisko okazało się wysoką, pięknie opaloną dziewczyną mniej więcej w jego wieku, z cudownymi blond włosami aż do pasa. Dziewczyna ubrana była w niebieską pelerynkę i złocisty kostium opinający jej ciało jak druga skóra. Na długich nogach miała złote botki. Wyglądała olśniewająco.

- Fantastyczna, nie? - odezwał się Szalony Dan, kiedy sprawdził, na co patrzy Jupiter. - Przebrana za Stellare, Gwiazdą Dziewczynę. Taki kostium to jest coś! Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego w konkursach na najlepszy kostium zawsze wygrywają faceci pokryci czymś, co wygląda jak zielony szlam.

- No - odpowiedział nieprzytomnie Jupiter, nie odrywając oczu od Stellary. - A co do książek...

- Słuchaj - Szalony Dan przerzucił zawartość pudła, zostawiając na wierzchu dziesięć książek. - Na te rzeczy na pewno znajdą się chętni. Mogę dać za nie trzysta dolców. Co powiesz na taki układ?

Ale Jupe nie słuchał.

- Hej - szepnął mu do ucha Bob. - Dostałeś poważną propozycję handlową.

- To brzmi trochę lepiej - Jupiter spojrzał na rozłożone przed nim komiksy, ale jego głowa, jakby wbrew właścicielowi, odwróciła się znów w poszukiwaniu Gwiazdnej Dziewczyny.

Dostrzegł tylko złoty błysk za plecami człowieka w obszernej, czerwonej szacie, przypominającej krojem habit mnicha, z twarzą zakrytą czarno-białą maską o kształcie trupiej czaszki.

Jupiter z niesmakiem potrząsnął głową i wrócił do interesów.

- W porządku - powiedział. - Niech będzie trzysta. Ale są to nasze najcenniejsze egzemplarze i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że pana zysk...

Poczuł, że ktoś go potrącił. Zawirowała płachta czerwonej tkaniny. Nie zdążył zaprotestować, kiedy postać z czaszką zamiast twarzy przemknęła mu za plecami. Zobaczył tylko ręce wyciągnięte w dramatycznym geście i długie, białe palce zaciśnięte kurczowo na

czymś, czego nie mógł rozpoznać. Półem palce rozprostowały się. Sześć niedużych piłeczek upadło na podłogę.

W jednej chwili stoisko Szalonego Dana zniknęło w oparach dymu.

ROZDZIAŁ 3

CAŁOPALENIE

Niespodziewana chmura dymu wywołała małą panikę wśród kupujących i gości. Tu i ówdzie słyhać było wystraszone piski. Było to jednak nic w porównaniu z wrzaskiem, który się rozległ, kiedy dym nieco opadł.

- Okradzione mnie! - krzyczał Szalony Dan co sił w płucach.

Rozczochrany, ze zjeżonym wąsem, toczył dzikim wzrokiem dokoła.

- Gdzie jest facet przebrany za Szkarłatnego Upióra? Jak go dorwę, zabiję!

Ale Szkarłatny Upiór zniknął.

- Chytra sztuczka! - pokręcił głową Jupiter. - Zrobił sobie zasłonę dymną, żeby wziąć ze stołu najcenniejsze komiksy.

Popatrzył uważnie na stoisko. Z tyłu, na regale widniała jeszcze większa wyrwa.

- "Qupa śmiechu", pierwszy numer - mówił Dan...

- To komiks, którego Dan nie chciał wcześniej sprzedać - mruknął Jupiter do kolegów.

- ...kilkanaście sztuk po dwadzieścia, trzydzieści dolarów...

Niespodziewanie przerwał. Oszłupiały wpatrywał się w najcenniejszy egzemplarz ze swojej kolekcji - "Błysk", numer pierwszy, który leżał nie tknięty, z ceną 4500 dolarów wypisaną dużymi cyframi na okładce.

- Może dym nie był najlepszym pomysłem - zastanawiał się głośno Jupiter. - Najwyraźniej złodziej nie wziął tego, na czym musiało mu najbardziej zależeć.

- I tak nieźle się obłowił - warknął Dan. - Na końcu wyrwał mi to, co miałem w rękach - wasze komiksy!

Chłopcy popatrzyli po sobie. Nie dość, że Szkarłatny Upiór ściągnął dziesięć ich najlepszych książek, to jeszcze pozbawił ich co najmniej trzystu dolców!

- Wygląda na to, że mamy sprawę do rozwiązania - powiedział Pete.

- Sprawę do rozwiązania? - Dan przyjrzał się im badawczo.

- Tym się właśnie zajmujemy - wyjaśnił Jupiter. - Może zauważył to pan w naszych komiksach? - i podał Danowi wizytówkę:

TRZEJ DETEKTYWI

Badamy wszystko

Jupiter Jones założyciel
Pete Crenshaw współpracownik
Bob Andrews współpracownik

- Agencja “Trzej Detektywi”? Zaraz, zaraz...

Szalony Dan wyjął spod stołu niewielkie pudełko, chwilę w nim pogrzebał i z triumfalną miną wyciągnął małą karteczkę z zagiętymi rogami.

- O rany! Nie wierzę własnym oczom! - wykrzyknął Bob. - Ma pan naszą starą wizytówkę.

- Jasne. Taką ze znakami zapytania. Wyceniona na jednego dolara siedemdziesiąt pięć centów.

- Jak to? - Jupiter otworzył oczy ze zdumienia. - Chce pan powiedzieć, że to się sprzedaje?

Dan wzruszył ramionami.

- Ludzie zbierają bardzo różne rzeczy - popatrzył na nich przeciągłym wzrokiem i dodał:

- A więc zajmujecie się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych! Dokładnie kogoś takiego mi w tej chwili trzeba. Mam propozycję. Znajdźcie moje skradzione komiksy, przy okazji odzyskajcie moje, a ja zapłacę wam za nie dokładnie tyle, ile zostało podane w “Poradniku dla zbieraczy”.

Chłopcy spojrzeli na siebie.

- Umowa stoi - Jupiter przełożył pudło z resztą książek pod pachę i wyciągnął rękę.

- W porządku. Jestem Dan DeMento. Sami widzicie - z takim nazwiskiem trudno o inną ksywę niż Szaleniec.

- Jestem Jupiter Jones, a to Pete Crenshaw i Bob Andrews. Musimy zacząć od rutynowego pytania. Czy jest ktoś, kogo podejrzewa pan o tę kradzież?

- To mógł być każdy, to znaczy każdy, kto przyszedł na kongres - Dan wyciągnął obie ręce i pokazał cały tłum kłębiący się w sali konferencyjnej. - Macie przed sobą największe zgromadzenie świrów z całej Kalifornii. Nie chcę powiedzieć, że trzeba być nienormalnym, żeby zbierać komiksy, ale w tym, co mówię, jest i trochę prawdy.

- To znaczy, że według pana, wszystkich tutaj obecnych trzeba traktować jak podejrzanych?

Dan wzruszył ramionami.

- Chcę tylko powiedzieć, że z ludźmi dzieją się dziwne rzeczy, kiedy zaczynają coś kolekcjonować. Nieważne, co zbierają. Po prostu dostają bzika.

- Ale żeby zaraz kraść? - zdziwił się Jupiter. - Czy złodziej mógłby sprzedać te książki?

- Nie byłoby mu łatwo. Szczególnie z czymś takim jak pierwszy numer "Qupy śmiechu". - Dan zacisnął pięści ze złości. - To za droga rzecz, żeby ją sprzedać byle komu. A antykwariusze zawsze chcą wiedzieć, skąd książka pochodzi.

- A tego złodziej nie mógłby zdradzić - kiwnął głową Pete.

- Tak. Ale rzecz w tym, że tutaj są sami kolekcjonerzy - Dan znowu rozejrzał się po sali. - Ktoś taki może trzymać komiks w szafie do końca życia.

To było prawdopodobne. Jupiter, Pete i Bob naradzali się, co począć w takiej sytuacji. Tymczasem zwabieni wybuchem gapie rozchodzili się powoli. Po chwili sytuacja wróciła do normy.

Jakiś rozentuzjasmowany dwunastolatek stanął obok nich, machając kartonem pokrytym biało-czarnymi obrazkami.

- Zobacz, co mam! - wykrzykiwał do kolegi. - Całą stronę wczesnych rysunków Steve'a Tresha do "Szkarłatnego Upiora". Za jedyne siedemdziesiąt dolców.

Z tłumu wyszedł wysoki, chudy mężczyzna z bardzo jasnymi włosami. Miał tak jasną cerę, jakby nigdy nic wychodził na dwór.

- Hej, mały! Dam ci za to siedemdziesiąt pięć - zaproponował.

- Nie ma mowy.

- W porządku! - i blady facet jedną ręką wyrwał chłopcu arkusz rysunków, a drugą wcisnął mu do rąk zwitek banknotów. - Masz stówę. I się ciesz.

Mały patrzył szeroko otwartymi oczami, jak mężczyzna drze kartkę na drobne kawałki, wrzuca je do popielniczki i podpala.

- Co pan sobie myśli! - wrzasnął w końcu. - Nie ma pan prawa!

- On akurat ma prawo - do chłopca podszedł gruby człowieczek z ciemną brodą. - To Steve Tresh. Sam wymyślił i narysował tę historię.

- Steve Tresh! - wyjąkał chłopiec. - O rany! Czy podpisze mi pan program?

Tresh z uśmiechem dał mu autograf.

- Szkoda, że nie mogę go mieć na tamtych obrazkach.

Z twarzy Tresha natychmiast zniknął uśmiech.

- Nigdy nie podpisuję "Szkarłatnego Upiora" - rzucił sucho i odszedł.

- Ale palnąłeś - brodaty popatrzył z politowaniem na małego. - Wszyscy wiedzą, jak Tresh został wyrolowany przez wydawnictwo Heroic Comics. Od lat sprzedają "Szkarłatego Upiora" i robią na tym grubą forszę, a on nic z tego nie ma. Tresh nie chce, żeby rysunki zyskały na wartości, i ich nie podpisuje.

- Steve! - DeMento zawołał w ślad za odchodzącym artystą. - Szukam cię cały dzień. Chciałem pokazać ci coś ciekawego. To był prawdziwy biały kruk. Był - skrzywił się - bo właśnie ktoś mi go ukradł.

- Ciekawe, ciekawe - brodaty grubas podszedł do stoiska. - Pierwszy raz słyszę, żeby złodziej skarżył się, że ktoś go okradł.

- Zejdź mi z oczu, Carne.

- Przez ciebie i takich jak ty, ludzie, którzy naprawdę kochają komiksy, muszą za nie słono płacić. Wasze cholerne ceny! Nie ma już prawdziwych kolekcjonerów. To twoja wina.

Wściekły Dan wyszedł zza stołu i zbliżał się do Carne'a, kiedy ktoś złapał go za rękę. To Steve Tresh zawrócił widząc, co się święci. Jupiter zobaczył, że i on ma czarny stempel na dłoni.

- Wracaj do siebie. Dan - powiedział spokojnie. - Sam wiesz, o czym mówi Frank. Tak się składa, że na tym interesie zarabiają wszyscy. Tylko my, autorzy, nie mamy ani grosza z tego, co sprzedacie.

- Panowie, panowie! - nie wiadomo skąd zjawił się Axel Griswold. - Właśnie usłyszałem, co ci się przytrafiło, DeMento - załamał szczupłe dłonie i potrząsnął niedowierzająco głową. - Że też coś takiego musiało się zdarzyć, kiedy akurat wyszedłem z sali. Co zaginęło?

- Nie tak dużo - Szalony Dan z niechęcią odsunął się od Griswolda. - Najcenniejszy był stary numer "Qupy śmiechu" z rysunkami Steve'a. Chciałem mu go pokazać.

- Wiem, że się różnimy w ocenie branży komiksowej - powiedział Griswold do DeMenta, Tresha i Carne'a - ale wierzę, że jedno nas łączy: nikt nie życzy sobie złodziei na imprezie takiej jak ta. Liczę na waszą pomoc.

- Jasne. Będziemy mieć oczy otwarte - przyrzekł Carne. - Chodź, Steve. Jak się pospieszysz, zdążymy na początek "Asteroida Rocka". Właśnie zaczynają projekcję.

Odeszli obaj.

- Ja już zatrudniłem detektywów - powiedział DeMento i przedstawił Griswoldowi Jupitera, Pete'a i Boba.

Ten nieuważnie obejrzał wizytówkę.

- Proszę. Detektywi. Jestem do dyspozycji, gdybyście potrzebowali pomocy. A teraz

muszę lecieć. Mamy nowy problem. O tej porze w Sali Złotej powinien zacząć się maraton filmowy. "Asteroid Rock" - wszystkie cztery serie, sześćdziesiąt godzin projekcji! Tymczasem nie zjawił się operator. Frank będzie musiał poczekać.

Westchnął i dodał:

- Udało mi się zmontować aparaturę, teraz szukam ochotnika, który umie ją obsługiwać. A za chwilę zaczyna się finał konkursu na najlepszy kostium - i nie oglądając się, pognął przed siebie.

- Co to jest "Asteroid Rock"? - zapytał osłupiały Bob.

- Stary serial science fiction. Wydaje mi się, że z lat czterdziestych - odpowiedział szybko Jupiter.

Potem zostawił pudło pod opieką Dana i pognął za Griswoldem.

- Czy pan zechciałby nam pomóc właśnie teraz? - zapytał oglądając się, czy Pete i Bob są z nim. - Chcielibyśmy wiedzieć, kim są ludzie, z którymi pan rozmawiał.

- Chudy, bladej facie to Steve Tresh - rysownik i pisarz. Gruby nazywa się Frank Carne. Spec od tekstów, takich nieważnych przerywników pomiędzy stronami z obrazkami. Podpisuje je Frank Zapchajdziura - Griswold parsknął śmiechem. - Pasuje jak ulał. Frankowi wydaje się, że wie wszystko najlepiej, i ciągle poucza ludzi. Zawsze są przez niego jakieś kłopoty.

- Wygląda, że się obaj przyjaźnią.

- Z tego, co wiem - korespondowali ze sobą od dłuższego czasu - wyjaśnił Griswold. - Tresh mieszka w Ohio. Dopiero miesiąc temu przyjechał do Los Angeles. Chyba miał nadzieję, że coś tu zarobi, ale jeszcze nie udało mu się nic narysować.

Westchnął ze współczuciem.

- Żał mi go. Zaprosiłem go na KonMiKom jako gościa honorowego. Ma nawet pokój w hotelu. Ale chyba to był błąd - zerknął na zegarek. - Przepraszam, chłopaki, ale muszę lecieć.

I już go nie było.

- Nie wiadomo, jak to ugryźć - skrzywił się Pete.

- Mnie się wydaje, że mamy pierwszego podejrzanego - powiedział Bob.

- Frank Carne? Czy Tresh? - popatrzył na niego Jupiter.

- Myślałem o Treshu. Widzieliście, jak wyrwał rysunek temu dzieciakowi?! Złodziej działał w podobnym stylu. - Może Tresh też nie lubi tego, co rysował w "Qupie śmiechu"?

- Niemożliwe - zaprotestował Pete. - Pojawił się prawie zaraz po kradzieży. Dym jeszcze się nie rozwiął, pamiętam.

- Wiemy, że tu mieszka. Spróbujmy dostać się do jego pokoju i poszukać osmalonego komiksu - i Jupe skierował się prosto do recepcji.

Trzy minuty później wszyscy trzej stali przed drzwiami z numerem 318.

- Nie uda się nam zwalczyć tego zamka - pokręcił głową Jupiter. - Trzeba by mieć specjalny sprzęt.

Rozejrzał się po korytarzu i twarz mu się rozjaśniła. Przed pokojem numer 320 stał wózek pokojówki. Zapukał. Żadnej odpowiedzi. Nacisnął klamkę i jednej chwili znaleźli się w pustym pokoju.

- I co teraz? - zapytał kwaśno Pete. - Chcesz się przebić przez ścianę?

- To nie będzie konieczne - Jupe odsunął już szklane drzwi na balkon i wyjrzał przez barierkę.

Pokój wychodził na wewnętrzny dziedziniec z basenem. Ale nie to interesowało Jupitera. Sprawdzał odległość do balkonu pokoju 318.

- Nie więcej niż dwa metry. Łatwy skok. Trzeba tylko dobrego sportowca. Może najlepszego piłkarza z naszej drużyny piłkarskiej? Co o tym myślisz, Bob? - mrugnął do kolegi.

- O nie - zaczął Pete. - Nie liczcie na mnie...

Ale kilka minut później był już za barierką. Stał na wąskim pasku betonu trzy piętra nad ziemią i czuł, jak metalowa poręcz wbija mu się w uda.

- Jak oni mnie w to wrobili? - mruczał do siebie, kurczowo trzymając się poręczy za sobą. - Zawsze jest tak samo. Wysportowany! A potem tylko: Przynieś! Dźwignij! A teraz: Skacz!

- Pomyśl, że to tylko krótki skok w dal - poradził Bob.

- Śliczne dzięki. Może i krótki, ale zapomniałeś, że mam pod sobą trzy piętra.

Łapiąc z trudem równowagę, stanął na palcach i puścił poręcz. Oczy miał utkwione w sąsiedni balkon. Wiedział, że w żadnym wypadku nie wolno mu spojrzeć w dół. Wziął głęboki oddech i skoczył.

Pod prawą nogą poczuł opór, ale lewa ześliznęła się z wąskiej krawędzi. Przez jedną straszną chwilę był pewien, że spada. W ostatniej chwili chwycił rękami poręcz. Kostki palców zbieleły mu z wysiłku, kiedy podciągał się w górę. Udało się! Po chwili stał bezpieczny na balkonie pokoju 318.

Popatrzył na przyjaciół, Jupiter niecierpliwie pokazywał pokój.

- Miło widzieć, że się o mnie martwiliście - cierpkim głosem rzucił im Pete.

Podszedł do drzwi i zerknął do środka. Wydawało się, że nikogo tam nie ma.

Zaryzykował. Szklana tafla odsunęła się, nie wydając żadnego dźwięku. Jeszcze raz sprawdził. Pusto. Wszedł do środka.

Tu i tam piętrzyły się stosy gotowych ilustracji wykonanych piórkiem. Najwyraźniej Tresh zamierzał sprzedać je podczas kongresu. Pete sprawdził, czy między nimi nie ma egzemplarza "Qupy śmiechu", potem zajrzał do szafy w poszukiwaniu czerwonego habitu.

Nic.

Właśnie odsuwał szufladę komody, kiedy w lustrze zauważył jakiś ruch. Odwrócił się gwałtownie i zmartwił. Z łazienki wyskoczyła na niego przerażająca postać - ludzkie nogi w czarnych dżinsach, szeroka, naga klatka piersiowa, a nad nią karykaturalnie skrzywiony, zielony łeb. Atakował go Żabi Mutant!

O sekundę za późno Pete zorientował się, że ma przed sobą zwykłego opryszka w przebraniu Mutanta. Zanim zdążył zacisnąć pięść, poczuł silne uderzenie. Głowa odskoczyła mu w tył i odbiła się od framugi.

Zamroczony bólem spróbował kontrataku. Cios otwartą dłonią okazał się jednak tak słaby, że przeciwnik zablokował go bez trudu, po czym odpowiedział celnym prawym sierpowym. Pete przeleciał przez otwarte drzwi i znalazł się na balkonie, znowu poczuł za plecami barierkę, ale tym razem wywinął salto w tył i poczuł, że spada. Pod nim były trzy piętra.

ROZDZIAŁ 4

ZADZIWIAJĄCE OPOWIEŚCI

Pete runął głową w dół na dziedziniec. Desperacko spróbował obrotu w powietrzu, żeby odzyskać kontrolę nad ciałem. Chodziło o to, by spadając jak najszerszym łukiem, wylądować w basenie.

Wprawdzie sędziowie olimpijscy mieliby spore zastrzeżenia do stylowej poprawności salta i następującego po nim skoku dowody, to jedno nie ulegało wątpliwości - Pete bezpiecznie zakończył lot.

Łapiąc ustami powietrze, prychnąwszy i plując wypłynął na powierzchnię, świadomy, że cudem uniknął poważnego niebezpieczeństwa. Z brzegu basenu wyciągnęło się do niego kilkanaście par rąk. Ale Pete w kompletnym szoku machał rękami, żeby utrzymać się na wodzie, nie próbując nawet wydostać się na zewnątrz.

Nie był pewien, czy nie wylądował na obcej planecie. Wszyscy dookoła wyglądali jak żywcem wyjęci z "Gwiezdných wojen". Roboty, zielone ludziki, dziwne stworzenia o kilku głowach, a nawet coś na kształt pokrytego sierścią fotela - przechadzali się wokół basenu.

Potem przypomniał sobie o konkursie na najlepszy kostium! Władował się w sam środek finałowego pokazu. Z niechętnych spojrzeń rzucanych w jego kierunku wynikało, że wielu zawodników zmoczył od stóp do głów. Znalazło się jednak kilka życzliwych osób, w tym Bob i Jupe, którzy pomogli mu wygramolić się na brzeg.

- Co się stało? - Bob rozejrzył się sprawdzając, czy stoją w dostatecznej odległości od tłumu. - Wszedłeś do środka. Nie minęła nawet minuta i wyleciałeś na zewnątrz.

- Tymczasem nadziałem się na czyjąś pięść.

- Kto to był? Tresh? Szkarłatny Upiór?

Pete pokręcił głową.

- Nie myślę, żeby Tresh miał coś wspólnego z Upiorem. Nigdzie w pokoju nie ma czerwonego habitu. I na pewno nie on na mnie napadł. Tamten facet miał posturę byka. Kłębę mięśni. Twarzy nic widziałem, bo nosił maskę Żabiego Mutanta.

- Ciekawe, czy między nimi jest jakiś związek - zastanawiał się Jupiter.

Przerwał, gdy Bob rzucił cicho:

- Wygląda na to, że będziemy mieć towarzystwo. Mężczyzna w marynarce, z plakietką kierownika hotelu na piersiach, podchodził do nich z miną nie wróżącą niczego dobrego. Za nim biegł Axel Griswold.

- Co właściwie się tutaj wydarzyło? - zapytał niechętnym tonem.

- Ja... Spadłem... - ociekający wodą Pete usiadł na jednym z plastikowych krzeseł stojących nad basenem.

- Jak to "spadłem"? Skąd? - odpowiedź Pete'a najwyraźniej nie zadowoliła kierownika.

- Jak by to powiedzieć... - Pete rozglądał się, szukając pomysłu.

- Mam wrażenie - wtrącił się bystro Jupiter - że moglibyśmy wnieść skargę do sądu. Poręcze balkonów są za niskie i źle umocowane. Mój przyjaciel kichnął, zrobił krok do tyłu i wyleciał. Ma pan szczęście, że to wspaniały sportowiec. Inaczej mogłoby dojść do poważnego wypadku.

- Jesteście panowie gośćmi naszego hotelu? - kierownik rzucił Jupiterowi lodowate spojrzenie. - Poproszę o numer pokoju.

- 316 - wysunął się do przodu Axel Griswold. - Panowie są ze mną.

Jupiter dał mu szansę i zamilkł.

- Rozumiem - irytacja kierownika hotelu obróciła się tymczasem przeciw Griswoldowi. - To nie jest dla nas zbyt przyjemny dzień. Najpierw kradzież, teraz ten... wypadek. Mam nadzieję, że nie będziemy mieć więcej problemów.

Odszedł nie oglądając się za siebie.

- Ja też mam taką nadzieję - mruknął organizator KonMiKom-u, po czym zwrócił się do chłopców:

- Jak rozumiem, miało to jakiś związek z waszym śledztwem?

- Oczywiście - zapewnił Jupiter. - Pete został zmuszony do skoku podczas sprawdzania pewnych poszlak. Dziękujemy za pomoc. Gorzej będzie, jeśli zaczną sprawdzać, czy naprawdę mieszkamy w 316.

- Jeśli zaczną sprawdzać, to was tam znajdą - Griswold wyciągnął rękę z kluczami. - Ten pokój jest połączony z moim - 314. I tak miałem zamiar wam go zaproponować, w razie gdybyście chcieli dłużej pracować nad sprawą. Teraz wasz kolega musi się gdzieś wysuszyć. Chyba że zamierza wziąć udział w konkursie jako Podwodny Człowiek. Co mi przypomniało, że muszę popędzić sędziów.

I pognął do stołu sędziowskiego.

W pokoju 316 stały dwa podwójne łóżka i wielka szafa. Wewnętrzne drzwi do sąsiedniego pomieszczenia były zamknięte na klucz. Pete, owinięty w kąpielowe ręczniki, powiesił mokre ubrania nad wanną i został, czekając, aż wyschną, natomiast Jupe i Bob pobiegli na dół.

Pannica o dwukolorowych włosach sprawdzała teraz pieczątki na rękach wchodzących. Jej miejsce zajął pryszczaty facet z szopą rozczochranych włosów. Tym razem dziewczyna obdarzyła Jupitera znacznie uważniejszym spojrzeniem, ale tak naprawdę ożywiła się dopiero na widok Boba.

- Cześć, nazywam się Lori - powiedziała.

- Lori - Bob obdarzył ją jednym ze swych najsympatyczniejszych uśmiechów. - To moje ulubione imię. Słuchaj, Lori, czy nie widziałaś tutaj typa przebranego za Szkarłatnego Upiora?

Lori popatrzyła mu w oczy i pokręciła przecząco głową.

Wtedy wtrącił się Jupiter. Chciał się dowiedzieć, gdzie jest teraz Frank Carne. Jednak Lori nie pozwoliła mu dokładnie opisać Franka.

- Czy ty wiesz, ilu grubych facetów zbiera komiksy? - parsknęła zniecierpliwiona. - Dzisiaj przeszło ich tędy co najmniej tysiąc. Byli grubi, grubszy i zupełnie hipopotamy.

- Ale wiesz - wtrącił się Bob - ten jest znany w waszym środowisku. Człowiek z brodą, pisze teksty...

- Masz na myśli Franka Zapchajdziurę? Dlaczego twój kumpel nie mówił od razu? Kilka minut temu poszedł do restauracji.

Znaleźli go tam i postanowili zjeść wspólnie lunch.

Co powiecie na to, żeby usiąść na zewnątrz? - zaproponował Frank. - Stamtąd da się coś niecoś zobaczyć.

Jupiter zgodził się natychmiast, licząc na spotkanie wspaniałej blondynki. Bob, który miał wciąż w oczach skok Pete'a, nie był aż tak chętny.

Usiedli pod parasolem tuż przy krawędzi basenu przyglądając się, jak uczestnicy konkursu na najlepszy kostium paradują przed jury.

Carne zamówił dwa hamburgery. Bob zadowolony się jednym. Jupiter z nieszczęśliwą miną przerzucał menu.

- Czy są... kiełki? - wyjąkał w końcu do kelnera.

- Jesteś znowu na diecie? - Bob starał się ukryć uśmiech.

Jupiter stał się ostatnio równie znany ze swych drakońskich diet, co z detektywistycznych zdolności.

- Kiełki lucerny i godzina szybkiego spaceru dziennie - przyznał się Jupiter. - Podobno najlepszy sposób na spalenie tłuszczu.

Potem popatrzył na kelnera.

- Nie ma żadnych kiełków.

- No to poproszę zieloną sałatę. Bez sosu.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego niektórzy tak lubią się głodzić - Carne odgryzł wielki kęs hamburgera i ze smakiem wciągnął do ust smażoną cebulkę, która wystawała z boku. - Może się skusisz na jednego gryza? - zaproponował.

Jupiter szybko zmienił temat.

- Potrzebujemy od pana trochę poufnych informacji o tym, co się dzieje w waszej branży.

- Czyli informacja o machinacjach, tak? - spochmurniał Frank. - W tej branży wszystkie chwytaki są dozwolone, byle oszukać prawdziwych kolekcjonerów.

Gruby facet, zatrzaśnięty w czymś w rodzaju metalowego pudła, przedelfilował tuż przed ich stolikiem. Wyglądał jak gigantyczny toster.

- Bawię się w to, bo kocham komiksy, jak wielu w tym interesie. Zaczynaliśmy od czystej, bezinteresownej miłości, ale potem moloch biznesu rozdeptał nas na miazgę. Widzieliście, jak Steve Tresh spalił swoje rysunki, nie?

Jupiter przytaknął, duszą jednak był gdzie indziej. W tej chwili długonoga blondynka prezentowała swój kostium i on za nic nie mógł skupić się na tym, co mówi Carne. Z trudem wziął się w garść, żeby słuchać dalszego ciągu opowieści.

- Steve jest najlepszym przykładem. Dziesięć lat temu, kiedy miał zaledwie osiemnaście lat, wymyślił nową postać. Narysował i napisał całą historię, znalazł wydawcę. Pomysł chwycił, jego bohater nazywał się Szary Upiór. Steve nie miał wyboru. Większość publikacji była wtedy czarno-biała. Ale jakby nie patrzeć, historia Szarego Upiora była rewelacją. Steve z dnia na dzień stał się poszukiwanym autorem. Poważne wydawnictwo Heroic Comics zaproponowało mu stałą pracę, a Szary Upiór...

- ...stał się Szkarłatnym Upiorem - wtrącił się Bob. - Pamiętam z dzieciństwa.

- Zrobił świetną robotę. Rysunki były fantastyczne - i nic dziwnego, bo Steve jest prawdziwym artystą. Ale sama historia też była niezwykła. Szkarłatny Upiór był zupełnie różny od bohaterów innych komiksów. Nie nosił idiotycznych mundurów, bo Steve wymyślił mu te genialne szaty. Poza tym, nikt nie wiedział, kto jest Upiorem.

- Pamiętam - kiwnął głową Bob. - Nikt nie mógł odkryć sekretu. Zawsze podejrzewało się trzy albo cztery osoby. Sam szalałem, szukając coraz to nowych dowodów.

- To był najlepszy komiks, jaki w ogóle powstał - powiedział Frank smutno. - A potem go spaprali i już nic nie jest wart.

- Jak to spaprali? - dopytywał się Jupiter.

- Tresh pracował z wydawcą o nazwisku Leo Rottweiler. Leo korzystając z tego, że

Tresh mu ufa, namówił go, żeby zrzekł się praw autorskich na korzyść wydawnictwa. A potem zaczął zmieniać historię, tak jak chciał. Mówił, że chodzi mu o popularność “Upiora”. Wymyślił idiotyczny konkurs, który polegał na tym, że czytelnicy w głosowaniu rozstrzygają, kim jest Upiór. Względy artystyczne miał za nic.

- Sam głosowałem - przyznał się speszony trochę Bob.

- Pewnie. Leo zrobił to, żeby przyciągnąć dzieci. A potem zaczął dwie nowe serie “Upiora” - tylko że zupełnie kto inny je tworzył. Niebyły nawet takie złe - po prostu niczym się nie różniły od setek podobnych historii.

“Szkarałatny Upiór” i dzisiaj dobrze się sprzedaje. Tylko że to zupełnie nie ten komiks. Leo Rottweiler ma na zawsze zapewnioną ciepłą posadę w Heroic Comics.

- A co ze Steve’em Treshem? - zapytał Jupiter, z niechęcią patrząc na kolejnego uczestnika konkursu, który wyglądał jak ożywiona inna wersja sałaty z jego talerza.

- Mógł się tylko wycofać. Kiedy zobaczył, co się dzieje, próbował wstrzymać całą aferę, ale nie miał już żadnych praw do “Upiora”. Heroic Comics robi, co chce, i zgarnia wszystkie pieniądze. Dlatego Steve nie podpisuje żadnej z dawnych prac. Woli je spalić.

- To znaczy, że wydawnictwa oszukują czytelników.

- Chłopcze, wszyscy oszukują czytelników. W dodatku my kolekcjonerzy też przykładamy do tego rękę. - Carne rozejrzał się, a potem krzyknął do ciemnowłosego młodzieńca, który siedział kilka stolików dalej:

- Hunter, pożycz mi na chwilę swój “Poradnik dla zbieraczy”.

Chłopak wyłowił z przepastnego plecaka dobrze już podniszczoną książkę i rzucił w ich stronę. Frank złapał ją w locie.

- Zobaczcie - palcem pokazał odpowiednie miejsce. - Proszę bardzo. “Cerebus” - czarno-biały komiks, pierwsze wydanie - 1977. Wersja linotypowa dochodzi nawet do pięciuset dolarów. I co piszą dalej? Że na rynku pojawiły się sfalszowane egzemplarze pierworzoru. Uczą, jak je odróżnić. A potem - określają wartość fałszywki: dwadzieścia do trzydziestu dolarów. Machnął ręką i oddał “Poradnik” właścicielowi.

- Zapaleńcy gotowi są płacić nawet tym, którzy ich oszukują. To ich wina, że fałszyfikaty zamieniają się w coś, co warto zbierać. Nie mówię już o tym, że niektórzy znani nam antykwariusze sprzedają podróby jako autentyki.

- Na przykład kto? - podskoczył Jupiter.

- Słyszałem takich, co narzekali na waszego kumpla DeMenta. Jeśli macie zamiar podać mu rękę, lepiej zostawcie zegarek w domu.

Właśnie wtedy zachrypiały głośniki, jury ogłosiło werdykt. Zwycięzcą konkursu

został facet zakutany po uszy w sztuczne futro, przedstawiający Zjadacza Planet.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie nagrodzili tej blond laleczki? - prychnął od swojego stolika zde gustowany Hunter.

Jupiter, który myślał dokładnie to samo, nie odezwał się słowem.

- Muszę iść - Frank podniósł się żywo. - Za chwilę Niewydarzeni rozwałą statek kosmiczny Rocka.

Hunter wybuchnął głośnym śmiechem, kiedy zobaczył głupie miny Jupitera i Boba.

- Mówił o filmie - wyjaśnił. - Frank widział "Asteroida Rocka" tyle razy, że ogląda teraz tylko najlepsze kawałki.

- Ale typy, co? - mruknął Bob, kiedy wstali od stołu. - Wygląda na to, że oni wszyscy mają niezłego świra.

Nie doczekał się odpowiedzi. Jupiter kątem oka zauważył złocisty błysk. To piękna blondynka usiadła właśnie przy stoliku obok wyjścia. Była z nią kobieta w średnim wieku - pewnie matka, i jakiś mężczyzna. Rozpoznał w nim łysego człowieczka, który wcześniej próbował kupić od Szalonego Dana pierwszy egzemplarz "Qupy śmiechu".

Udało się mu podsłuchać fragment rozmowy.

- Panie Rottweiler, najwyższy czas, by na okładkach "Gwiezdnej dziewczyny" pojawiły się fotografie zamiast rysunków. A ja mam dla pana doskonałą modelkę do postaci Stellary - kobieta poklepała blondynkę po ramieniu.

A więc tak wygląda Leo Rottweiler. Ciekawe, dlaczego tak bardzo zależy mu na wczesnych pracach Steve'a Tresha, zastanawiał się w duchu Jupiter.

Potem dołączył do Boba, który płacił za lunch.

Nagle w drzwiach restauracji pojawił się czerwony z wściekłości Steve Tresh.

- Griswold - wrzasnął - co się tutaj dzieje? Ktoś splądrował mój pokój.

ROZDZIAŁ 5

DZIWACZNE TYPY

- Steve, czy musimy rozmawiać o tym właśnie tutaj? - wyraźnie zakłopotany Axel Griswold stanął, blokując wejście do restauracji.

Grupa zaciekawionych gapiów z zainteresowaniem czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Jupe i Bob dołączyli do nich, wsłuchując się uważnie w słowa Tresha.

- Ktoś włamał się do mnie do pokoju, podarł moje ubrania i zniszczył wszystkie prace. Przez tłum przeszedł pomruk zdziwienia.

- Po co ktoś miałby to robić? - wyjąkał Griswold.

- Sam chciałbym to wiedzieć. I może mi powiesz, do czego zatrudniasz ochronę? Kogo ty w ogóle zaprosiłeś na ten kongres?

- Rozumiem, że jesteś wyprowadzony z równowagi - Griswold próbował uspokoić artystę. - Jeśli wolisz wyjechać, to...

- Wyjechać! - Tresh podniósł głos. - Wcale nie chcę wyjechać. Chcę tylko dopaść tego gnojka. Czy wiesz, ile rysunków mi zniszczył? Przyjechałem tutaj, żeby zarobić trochę forsy. I nie zamierzam od tego odstąpić, jeśli zarabianiem nazwać sprzedawanie własnych dzieł po dziesięć dolców za sztukę.

Odwrócił się gwałtownie, rzucając na odchodnym:

- Gdybyś mnie szukał, idę do głównej sali. Rysować! Podnieceni ludzie powoli rozchodzili się. Jupiter i Bob podeszli do Griswolda.

- Widzieliście? Nawet artyści od komiksów mają czasami artystyczny temperament. Albo zaległe raty do spłacenia. - Axel wzruszył imionami. - Dobrze wiem, że Steve zgodził się być honorowym gościem kongresu w nadziei, że sprzeda trochę swoich prac. Ale musi być naprawdę w trudnej sytuacji, skoro zostaje po czymś takim!

Jupiter pomyślał, że brak pieniędzy może być także motywem kradzieży.

- Proszę nam opowiedzieć o innych ludziach - chrząknął. - Kim na przykład jest dziewczyna w złotym kostiumie?

- Myślisz o Rainey Fields? - uśmiechnął się Griswold. - Niezła mała. To jej pierwszy poważny występ. Trzeba przyznać, że doskonała z niej Gwiezdna Dziewczyna. Może nawet zostanie gwiazdą. Jej mamuśka ciężko nad tym pracuje - dodał konfidencko szeptem.

- A kim jest człowiek, który z nimi siedzi?

- To Leo Rottweiler, redaktor naczelny Heroic Comics. To oni wydają zeszyty

“Stellary, Gwiazdnej Dziewczyny”. Mama Fields ma głowę na karku. Wie, do kogo uderzyć. Nie zdziwcie się, jeśli za jakiś czas zobaczycie zdjęcie Rainey w kioskach z komiksami. Ta kobieta to prawdziwy geniusz organizacyjny. Szkoda, że nie pracuje dla mnie.

Griswold sięgnął do kieszeni.

- Jeśli chcecie je poznać, przyjdźcie wieczorem na koktajl. Mam jeszcze kilka wolnych kart wstępu - powiedział wręczając im wejściówki. - Proszę. Dwa dla was, trzeci dla waszego wilgotnego kolegi.

Roześmiał się z własnego dowcipu i dodał:

- Będzie niezła impreza. Myślę, że przeciągnie się do samego świtu. Ale nie musicie się o nic martwić - pokój jest do waszej dyspozycji.

Potem popatrzył na zegarek i zerwał się na równe nogi.

- Lecę! Za parę minut muszę przedstawić prasie Pierwszego Fanatyka Komiksów.

- O czym on mówi? - zdziwił się Bob.

- Nie mam pojęcia. Ale wiem jedno - nie potrzebuje nikogo do pomocy. Sam jest geniuszem organizacji.

- Co robimy? - dopytywał się Bob.

- Chodźmy na górę po Pete'a. Jedziemy do domu. Dżinsy i podkoszulki to nie najlepszy strój na bankiet.

Pete bez słowa skargi założył wilgotne ciuchy. Poszli na parking.

- Kto według ciebie jest najbardziej podejrzany? - spytał Jupiter Boba, kiedy wracali do Rocky Beach.

- Wciąż typuję Steve'a Tresha.

- Dlaczego?

- Ciągle mam przed oczami widok Tresha palącego swoje prace - Bob, który siedział na przednim siedzeniu, wykręcił się cały do tyłu. - Za bardzo się stara coś udowodnić. Wiemy też, że w skradzionym numerze “Qupy śmiechu” były jego obrazki.

- Racja.

- Poza tym, wszystko wskazuje na to, że ma kłopoty z forszą. Zrobił piekło, kiedy ktoś zniszczył mu rysunki. Ale skoro brakuje mu pieniędzy, dlaczego wyrzuca w błoto sto dolarów na coś, co i tak zaraz publicznie spali? Tresh zachowuje się co najmniej dziwnie.

- No, dobra - powiedział Jupiter. - Załóżmy, że to on. Tylko jak wtedy wyjaśnisz włamanie do jego pokoju?

- Myślałem nad tym - Bob pokręcił głową. - Może Tresh wymyślił to, żeby oczyścić się z podejrzeń? Żeby przekonać wszystkich, że nie jest przestępcą, ale ofiarą? Pokazał też, że

w jego pokoju nie ma skradzionych komiksów. Nawet jeśli ktoś go wcześniej podejrzewał, po czymś takim musi zmienić zdanie. Zastanawiam się, czy Szkarłatny Upiór i Żabi Mutant to jedna i ta sama osoba.

- Nie ma mowy - rzucił Pete znad kierownicy. - Tresh ma posturę rozgrywającego, a tamten facet był zbudowany jak obrońca.

- Czy to mógł być Frank Carne? - spytał Jupiter.

- Nie - wzruszył ramionami Pete. - Szkoda, że nie widzieliście jego klaty - miał kłęby mięśni. Carne jest silny tylko w głębie.

- Są też inni, wmieszani jakoś w sprawę Szkarłatnego Upiora - Jupiter wyciągnął się na siedzeniu. - Na pewno DeMento i Rottweiler. Zauważyliście, że wszyscy, z którymi dotąd rozmawialiśmy, mówią całkowicie sprzeczne rzeczy? Carne uważa, że Tresh to geniusz. Ludzie w rodzaju DeMenta mają Tresha za świra. Griswold wciąż się nad nim lituje. DeMento mówi o sobie, że jest biznesmenem, ale dla Carne'a i Tresha jest zwykłym oszustem.

Bob zaśmiał się i dorzucił:

- Carne ma się za reformatora gatunku. Uważa, że tylko on wie, jak ocalić komiks przed komercyjnymi zakusami wydawców. A dla Griswolda i DeMenta jest zwykłym intrygantem. - Zastanowił się chwilę. - A Rottweiller? Jego chyba nikt nie lubi. Tresh go nienawidzi za to, co zrobił z jego bohaterem. Carne mówi na głos, że Rottweiler zniszczył serię "Szkarłatnego Upiora". DeMento dał mu niezłe popalić, kiedy nie chciał mu sprzedać tamtego komiksu.

- Komiks, który próbował za każdą cenę kupić Rottweiler, został skradziony. Czy to jest dla nas jakiś ślad? - zapytał Pete.

- Rottweiler mógłby być podejrzanym numer dwa, gdybym tylko uwierzył, że właśnie on cię zaatakował - odpowiedział Jupiter. - Tymczasem bardziej przypomina bociana w ciąży niż tę kupę mięśni, która się na ciebie rzuciła.

Jupiter chętnie dorzuciłby do grona podejrzanych Rainey Fields. Miałby wtedy pretekst do rozmowy z nią. Nie chciał się jednak wygłupić - co mógł zarzucić Rainey? Chyba tylko to, że przechodziła obok, kiedy próbował dobić targu z Szalonym Danem.

Chociaż - kto wie? To stara sztuczka. Posyłamy piękną dziewczynę w miejsce przestępstwa, żeby odwrócić uwagę potencjalnych świadków. Nieraz o tym czytał.

Na myśl, że Rainey mogłaby być wmieszana w tę sprawę, poczuł się nieswojo.

- Dziwne to wszystko - odezwał się Bob.

- DeMento miał rację, kiedy mówił, że wszyscy kolekcjonerzy mają fioła - kiwnął

głową Jupiter. - Nawet jeśli zbierają coś tak niepoważnego, jak dziecinne komiksy.

- Ciekawe. Jeśli cię dobrze rozumiem - mówił Bob z kamienną twarzą - inteligentni ludzie powinni zbierać inne rzeczy. Na przykład - komputery. To znacznie dojrzsze. Albo - samochody.

Nie wytrzymał dłużej i roześmiał się w głos.

- A może powinni kolekcjonować panienki, jak niektórzy spośród tu obecnych - Jupiter spojrzał znacząco na Boba.

Tu temat się wyczerpał.

Pete wyrzucił Jupitera naprzeciw Kwatery Głównej. Na szczęście ciotka i wuj byli w domu. Jupe powiedział im, że ma zamiar spędzić noc w hotelu, i pognął spakować rzeczy na zmianę oraz założyć marynarkę i wizytowe spodnie.

Po półgodzinie jechali znowu w stronę Los Angeles. Jupiter zaproponował, żeby tym razem jechać przez Santa Monica.

- Pamiętacie, jak Szalony Dan mówił, że ma sklep w Santa Monica? Sprawdziłem adres w książce telefonicznej, to całkiem niedaleko. Pomyślałem, że przy okazji warto rzucić okiem na to miejsce.

“Komiksowe Imperium Szalonego Dana” mieściło się na końcu niewielkiej handlowej dzielnicy, pomiędzy sklepem z odkurzaczami a dziwnym miejscem po sufit wypełnionym wiklinowymi meblami, których nikt chyba nie kupował.

“Imperium” przyciągało wzrok orgią dzikich kolorów. Okna wystawowe zalepione były niemal w całości wielkimi plakatami, na których walczyli ze sobą przedziwnie poprzebierani bohaterowie i czarne charaktery ze wszystkich bardziej znanych komiksów. Znad drzwi uśmiechała się szybująca w przestworzach Gwiezdna Dziewczyna. Wyglądała całkiem jak Rainey Fields. A może odwrotnie?

- Proszę, proszę - Pete zahamował obok zielonej furgonetki. - I kogo my tu widzimy?

Oparty o samochód stał sam Dan DeMento. Dwaj młodzi ludzie, uginając się pod ciężarem pudeł, ładowali książki do środka.

- Dobry wieczór! - krzyknął Jupiter. - Transport nowych zapasów na kongres, prawda?

- A, to wy, chłopcy - Dan odgarnął szopę włosów znad czoła i przerzucił dalej komiksy zapakowane w plastikowe koszulki.

- Czy to, co trzyma pan w ręku - Jupiter za wszelką cenę chciał przedłużyć rozmowę - ma zastąpić rzeczy zabrane przez złodzieja?

- Zgadłeś, chłopcze. - DeMento ułożył z książek zgrabny stos i podniósł oczy. - Doszło do mnie, że jeden z was osobiście sprawdzał teorię grawitacji. Skacząc z trzeciego

piętra do basenu. Czy wy aby na pewno jesteście detektywami?

Jupiter starał się dojrzeć, co trzyma w rękach Dan. Zauważył, że jest to inny egzemplarz pierwszego numeru "Qupy śmiechu". Najciekawsza jednak była cena przyklejona w rogu plastikowej torebki. Dwieście pięćdziesiąt dolarów.

- O! Dokładnie to samo, co wziął rano złodziej! - wykrzyknął Jupiter. - Ale kosztuje o wiele mniej.

- Tamten egzemplarz był szczególny - zaczął Dan, ale przerwał z podejrzliwą miną. - Dlaczego odpytujecie mnie? Mieliście szukać złodzieja.

- Na tym etapie śledztwa - powiedział poważnie Jupiter - prowadzimy rozmowy z wieloma ludźmi.

- Prowadzicie rozmowy z niewłaściwymi osobami, jak mi mówiono. Podobno byliście w restauracji z Frankiem Zapchajdziurą. Nie warto marnować na niego czasu. Tacy ludzie jak Steve Tresh czy Frank Carne nigdy nie wydorosleją. Prawdę mówiąc, sam kiedyś byłem taki. Zbierałem komiksy, i tyle. Teraz na tym zarabiam, i naprawdę nie widzę w tym nic złego.

DeMento miał zacięty wyraz twarzy.

- Ich zarzuty nie mają żadnego sensu. Przecież dzięki temu, że komiksami się handluje, tacy faceci jak oni mają z czego żyć. Ale Tresh nie chce przyjąć tego do wiadomości. I on, i Carne zrobiliby wszystko, żeby dokopać ludziom z mojej branży.

Jupiter zastanawiał się, czy posunęliby się aż do kradzieży, byle tylko zaszkodzić Danowi?

ROZDZIAŁ 6

SZTUKA I - SZTUCZKI

Zostawili DeMenta przed sklepem i pojechali do hotelu.

- Chyba zaszkodziłem nam tym upadkiem - westchnął zmartwiony Pete. - DeMento ma nas teraz za pacanów, nie detektywów.

- Po prostu musimy jak najprędzej zrobić coś, żeby o tym zapomniał - machnął ręką Jupiter. - Ale teraz czeka nas najgorsza robota. Trzeba ustalić, gdzie w czasie kradzieży byli wszyscy wmieszani w tę sprawę. Będzie trochę chodzenia.

- Wiem, gdzie był wtedy DeMento - powiedział Bob. - Stał przede mną.

Wiemy też, gdzie była Rainey, pomyślał Jupiter. Właśnie odchodziła, kiedy zjawił się Szkarłatny Upiór. Może powinienem ją zapytać... Ale szybko odrzucił ten pomysł i przeszedł do konkretnych zadań.

- Chciałbym wiedzieć, gdzie wtedy byli Frank Zapchajdziura i Leo Rottweiler, a przede wszystkim sam Tresh. To powinno nam coś dać.

Zaparkowali samochód w podziemnym garażu i windą wjechali na górę, żeby w pokoju zostawić torby. Chcieli jak najszybciej znaleźć się w sali konferencyjnej i sprawdzić, co się tam dzieje.

Kolejka ludzi przed drzwiami była nieco krótsza. Goryl z ułamanym zębem wrócił na stanowisko. Dokładnie sprawdził stemple na ich dłoniach, zanim odblokował wejście. Wbrew oczekiwaniom sytuacja w głównej sali niewiele się zmieniła. Co więcej - Jupiterowi wydawało się, że poranne pandemonium weszło w nową, bardziej szaleńczą fazę.

Wszędzie kłębiły się tłumy. Najwięcej ludzi zgromadziło się w głębi sali, gdzie autorzy podpisywali książki i rysowali kolejne przygody ulubionych bohaterów. Jupiter z trudem przepchnął się do stołów zavalonych stosami komiksów, czasopism i plakatów oraz zupełnie świeżych ilustracji.

Interes kwitł. Setki ludzi - od małych dzieci, kurczowo ściskających zaczytane książki, po siwowłosych weteranów z grubymi portfelami - stały w kolejkach przed ulubionymi autorami. Oczy błyszczały im z podniecenia na myśl o spotkaniu swoich idoli.

Inni buszowali wśród stołów, przeglądając rysunki lub żądając autografów dosłownie na wszystkim - od podkoszulków po papierowe kubki po kawie. Zewsząd dobiegały strzępy rozmów, równie absurdalnych jak atmosfera na sali.

- Bez pana "Człowiek z Bagien" nie jest już ten sam - mówił jeden z fanów

rozgorączkowanym głosem. - Nikt nie umie rysować mułu tak jak pan.

- Robot Mściciel? Zniszczył pan całą serię! - wrzeszczał zdenerwowany młodzian. - To ma być Robot Mściciel?! Stebbins wiedział, jak rysować roboty. A u pana głowa Mściciela przypomina maskę volvo. Dawno powinni pana wykopać na bruk. Ale skoro już rozmawiamy, poproszę o autograf.

Rysownik zdębiał.

- Po co ci autograf, skoro tak ci się nie podobają moje prace?

- Za komiks z pana podpisem dostanę dwa razy tyle, ile za i niego dałem - odparł młody człowiek bez zmruczenia oka.

Kręcąc głową, artysta podpisał podsuniętą mu stronę.

Jupiter nie mógł się nadziwić. A może, pomyślał, to jedyny sposób, żeby pozbyć się gnojka?

Przed stołem Steve'a Tresha tłum był największy. Wielbiciele pojawili się, chcąc wyrazić oburzenie z powodu zniszczenia jego rysunków. Steve w błyskawicznym tempie uzupełniał straty. Co chwile na papierze pojawiały się nowe sylwetki popularnych bohaterów i ich równie znanych przeciwników. Zachwyceni ludzie kupowali na pniu wszystko, co szkicował.

Młodszy czytelnicy życzyli sobie czasami Szkarłatnego Upiora lub podtykali egzemplarze tego komiksu do podpisu, ale Tresh konsekwentnie odmawiał.

- Bez przesady! - bezczelny nastolatek wymachiwał Treshowi przed samym nosem książką z przygodami Upiora. - Niech pan podpisuje! Ostatecznie nic lepszego pan nie zrobił!

Tresh złapał go za rękę.

- Pracowałem nad dwudziestoma różnymi postaciami, jeśli nie wiesz. Jak chcesz autograf, idź do Leo Rottweilera. To teraz jego książka.

- Wszyscy podpisują. Pan też musi - nie ustępował pyskacz.

- Nic nie muszę. Jak będziesz dłużej tak machać tą książką, mogę przypadkowo wylać na nią butelkę tuszu. Nie mówiąc o tym, że ta strona może, równie przypadkowo, zostać przedarta na pół.

Dopiero po tej groźbie nachalny smarkacz zniknął.

- Pogadam z nim - zdecydował Bob i zaczął przepychać się przez tłum.

Wiele osób patrzyło na niego wściekłym wzrokiem, ale udawał, że tego nie zauważa. Nie był pewien, jak zwrócić na siebie uwagę Tresha, w końcu zdecydował, że będzie pytać wprost.

- Proszę pana - zaczął.

Tresh wyprostował się zdziwiony, kiedy nie dostrzegł niczego w rękach Boba.

- Na szczęście nie każesz mi podpisywać kolejnego idiotyzmu. To znaczy, że chcesz ilustrację. Kogo mam narysować? Na moje oko jesteś fanem Morderczego Mózgu. Mam rację? - nie czekając na odpowiedź, zaczął szybko kreślić coś piórkiem.

- Skoro już rozmawiamy, chciałem powiedzieć, że widziałem pana w akcji dziś rano. Zaraz po tym, jak okradzione stoisko Szalonego Dana. W takim stylu wyrwał pan dzieciakowi komiks, że Morderczy Mózg odpada w przedbiegach.

Tresh przestał rysować.

- Szkoda, że nie było tam pana wcześniej. Może złapałby pan tego faceta w przebraniu Szkarłatnego Upiora - ciągnął trochę bez sensu Bob. - A swoją drogą, gdzie pan wtedy był? Widział go pan?

Tresh patrzył zdumiony na Boba i nic nie mówił.

- Ty, facet - zdenerwował się ktoś z tyłu. - Jeśli chcesz pogadać, stań w kolejce jak inni.

- Steve - krzyknął ktoś jeszcze. - Pozbądź się nudziarza, bo mamy kilka interesów do zrobienia.

- Gdzie byłem? - odezwał się w końcu Tresh. - Dokładnie tutaj, w środku tego zoo. Wtedy jeszcze miałem co sprzedawać. A teraz zmywaj się, bo jestem zajęty.

Skończył rysunek, podniósł go wysoko i krzyknął w tłum:

- Morderczy Mózg. Czy jest chętny na Morderczy Mózg?

Bob nie mógł uwierzyć, że Tresh splawił go tak szybko. Pocieszał się, że pisarz ma wprawę, bo często musi sobie radzić z napastliwym tłumem. Zanim odszedł, rzucił jeszcze Treshowi wizytówkę, mówiąc:

- Może będziemy mieli jeszcze szansę się spotkać.

Nie był pewien, czy został usłyszany, bo za jego plecami co najmniej kilkanaście osób licytowało ostatnie dzieło Tresha.

- Co powiedział? - Jupiter i Pete czekali na niego tam, gdzie ich zostawił.

- Że był tutaj. Jeśli przed południem to miejsce wyglądało tak samo, będzie miał wielu świadków - Bob próbował doprowadzić się do porządku.

Pierwszy raz w karierze nie udało się mu zachować nieskazitelnego wyglądu!

- Nieźle to wymyślił. - Jupiter zmrużył oczy. - Tylko ciekawe, jakim cudem zdołał dostać się do stoiska Dana tuż po wypadku?

- On i Frank Carne zjawili się tam równocześnie - przypomniał sobie Bob. - Może byli razem?

- Słuszna uwaga - kiwnął głową Jupiter. - Spróbujmy znaleźć Carne'a.

Na szczęście w tłumie zobaczyli znajomą twarz. Niestety Hunter, znajomy Franka, który pożyczał im "Poradnik dla zbieraczy", nie umiał im pomóc.

- Nie widziałem Franka od ponad godziny. Ale wiecie co? - uśmiechnął się szeroko. - Sprawdźcie Salę Złotą, prosto, w lewo, jeszcze raz w lewo i cały czas na dół. Frank zjawi się tam wcześniej czy później, żeby obejrzeć ulubiony kawałek "Asteroidea Rocka".

- Wielkie dzięki. A może wie pan, gdzie jest Leo Rottweiler? - zapytał Jupiter.

- Jasne - Hunter wyciągnął rękę. - Jest tam. Heroic ma coś w rodzaju konferencji prasowej. Promują nową serię, którą nazwali "Klasyka komiksu".

W tłumie dostrzegli kilku artystów pracujących dla Heroic Comics. Pozowali obok wielkich rysunków swoich bohaterów. Ale wszystkie światła i kamery skierowane były w inną stronę. Jupiter dostrzegł błysk złotego kostiumu i przedarł się do przodu.

Nie mylił się! Rainey Fields w kostiumie Gwiazdnej Dziewczyny stała przy wizerunku swojej bohaterki i uśmiechała się do reporterów. Tuż obok, chociaż poza zasięgiem kamer, zauważył jej matkę urabiającą kolejnych dziennikarzy. Zza jej ramienia wyglądał Leo Rottweiler, niezadowolony, że telewizja nie poświęca mu uwagi.

Jupiter zbliżył się do niego i poprosił o chwilę rozmowy.

- Dlaczego by nie, mały - usłyszał w odpowiedzi. - Nie wydaje mi się, żeby ktoś inny chciał ze mną teraz rozmawiać.

- Zauważyłem pana obok stoiska Dana DeMenta na chwilę przed napadem. Czy komiks, który pan oglądał, był rzeczywiście tak cenny, że ktoś mógł chcieć go ukraść?

- Co to za pytanie! - Rottweiler przyjrzał mu się uważnie. - I jakie masz prawo, żeby je zadawać?

- Razem z moimi kolegami badam tę sprawę na polecenie Dana DeMenta - i Jupiter wręczył mu wizytówkę. - Potrzebujemy pana opinii jako eksperta w tej branży.

- Chodzi wam z pewnością o coś więcej - Rottweiler puknął palcem w wizytówkę. - Nie było mnie w sali, kiedy to się stało. Pewien wariat postanowił się ze mną pokłócić. Staliśmy przed salą kinową.

- Wariat? - spytał Jupiter.

- Frank Carne - wycedził tamten i skrzywił się na samo wspomnienie. - Wyszedł z Sali Złotej, gdzie wyświetlają ten idiotyczny film. Projektor im się chyba zaciął, bo Axel Griswold grzebał przy nim ładną chwilę. A Carne dorwał mnie.

- A potem?

- Ktoś przyszedł i opowiedział, co się stało na górze. Carne pobiegł tam od razu, a ja

zostałem. Uznałem, że Griswold powinien się dowiedzieć wszystkiego, i wszedłem do sali kinowej. A mówiąc prawdę, byłem szczęśliwy, że pozbyłem się Franka. Ma wygórowane poczucie własnej wartości, a ja z trudem to znoszę.

Po tych słowach odwrócił się.

- A teraz wybaczcie, ale mam poważniejsze sprawy i poważniejsze pytania, na które muszę odpowiedzieć.

Jupe pomyślał, że nigdy dotąd tylu ludzi nie odwracało się do nich plecami.

- Widziałem, jak rozmawiasz z Leo - usłyszał. - Czy i on jest wmieszany w waszą sprawę?

Odwrócił się i zobaczył Axela Griswolda.

- Być może - odpowiedział. - Był przy stoisku Szalonego Dana tuż przed kradzieżą. Ale na czas przestępstwa ma alibi. Musimy je sprawdzić...

- Kogo jeszcze sprawdzacie?

- Próbujemy znaleźć Franka Carne'a. Rozmawialiśmy już z Treshem.

- No i co? - Oczy Griswolda zabłyśły z ciekawości.

- Powiedział, że w tym czasie sprzedawał swoje prace. Co najmniej tysiąc łowców autografów może to potwierdzić.

- Nie jestem wcale taki pewien - Griswold popatrzył na nich. - Zanim spotkałem was przy wejściu, przechodziłem przez salę główną. Przy stole Tresha nie było ścisku. Nie mogło być, bo Steve jeszcze się tam nie pojawił.

ROZDZIAŁ 7

BANKIET

- Najwyższa pora sprawdzić alibi wszystkich, z którymi rozmawialiśmy - zadysponował Jupiter, kiedy wchodzili do sali bankietowej. - Ja chciałbym porozmawiać z niektórymi osobami, jakie znalazły się w okolicy stoiska Dana DeMenta w czasie kradzieży.

Tu nerwowym ruchem poprawił krawat.

- Z niektórymi osobami, mówisz? - Pete popatrzył na niego z niewinną miną. - Jak rozumiem, masz na myśli tę blondynkę, na widok której oczy wychodzą ci z orbit.

Zachichotał i dodał:

- Nigdy w życiu nie widziałem równie dramatycznej sytuacji: walka wewnętrzna Jupitera Jonesa! Co zwycięży? Chęć zdobycia pieniędzy czy prawdziwa miłość?

- Zamknij się! - warknął Jupiter, czując, że się czerwieni.

Mimo wszystko miał nadzieję, że Rainey Fields będzie na bankiecie.

I nie pomylił się. Tym razem Rainey założyła wieczorową kreację Stellary. Włosy miała upięte w wysoki, fantastyczny kok, z ramion zwisała jej krótka peleryna, spod której wystawała spódniczka z pasków złotego jedwabiu. Przy każdym ruchu widać było jej fantastycznie długie nogi. Nie było osoby, która by się za nią nie obejrzała.

Jupiter wyczekał momentu, kiedy mama Fields zajęła się rozmową z którąś z wydawniczych grubych ryb, i podszedł do Rainey. Wykrzyknęła, zanim jeszcze zdążył się przedstawić:

- To ty jesteś jednym z chłopaków tropiących złodzieja komiksów - z błyskiem zainteresowania w brązowych oczach przyglądała się Jupiterowi. - Wszyscy na kongresie o was mówią, szczególnie po tym, jak jeden z was wpadł do basenu.

- Na...naprawdę? - zdołał wyjąkać.

Pięknie, pomyślał. Miałem zadać jej pytania w związku ze sprawą, a tu bełkoczę bez ładu i składu. Trzeba wziąć się w garść!

- W przybliżonym czasie dokonania kradzieży znajdowałaś się w pobliżu miejsca przestępstwa... - Jupiter sam się zdziwił, kiedy usłyszał, co plecie.

Miałeś wziąć się w garść, a tymczasem zachowujesz się jak dziesięciolatek, który próbuje zaimponować dorosłym, skarcił się w duchu.

Rainey popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

- ... czyli stoiska Dana DeMenta - ciągnął.

Wydawało mu się, że kołnierzyk jego koszuli skurczył się co najmniej o dwa numery.

- Osobiście to zaobserwowałem, to znaczy - sam cię tam widziałem.

Rainey roześmiała się.

- Trudno mnie nie zauważyć w tym stroju - obciągnęła pelerynkę. - Trzeba mieć stalowe nerwy, żeby brać udział w tym konkursie. Sama się dziwię, jak mi się udało.

- Wyglądasz urzekająco, hm - to znaczy świetnie.

- Czy ty zawsze tak mówisz? - Rainey spojrzała na niego z ukosa. - To znaczy - z natychmiastowym tłumaczeniem?

Tylko wtedy, pomyślał Jupe, kiedy język odmawia mi posłuszeństwa.

- Wiesz, pierwszy raz w życiu rozmawiam z nadprzyrodzoną istotą - udało się mu wymyślić żart.

- Nie widziałam sprawcy przestępstwa, bo tak się chyba mówi - roześmiała się głośno.

- Ale może coś zauważyłaś, przypomnij sobie, proszę.

- Powiem ci prawdę, w ogóle nic nie widziałam. Miałam straszną tremę przed pokazem. Nigdy jeszcze nie występowałam publicznie przed tyloma ludźmi.

Nagle zmarszczyła brwi, jakby coś sobie przypominała.

- Czekaj, czekaj. Pamiętam stoisko Szalonego Dana. Wariacka nazwa. Przypominam sobie faceta z czarnymi, potarganymi włosami - przerwała na chwilę, żeby popatrzeć na Jupitera. - Ty też tam byłeś! Za tobą stał bardzo wysoki chłopak. I drugi - naprawdę przystojny blondyn,

Jupiter westchnął. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby jakaś dziewczyna przeoczyła Boba!

- Pamiętasz coś jeszcze?

Rainey potrząsnęła głową.

- Nie bardzo. Konkurs na najlepszy kostium miał się zaraz zacząć. Myślałam wtedy tylko o występie. Kiedy Szkarłatny Upiór otarł się o mnie - facet pędził i w ogóle nie patrzył przed siebie - ucieszyłam się, że to nie był Człowiek z Bagien. Wyobrażasz sobie ten muł?

- Czy było w nim coś szczególnego?

- A co szczególnego mogłoby w nim być? Człowiek przebrany za Szkarłatnego Upiora. Tyle że strasznie się spieszył.

- Zastanów się przez chwilę. Postaraj się przywołać w pamięci jego obraz. Powiedz mi, co robił - nie ustępował Jupiter.

Rainey przymknęła oczy.

- Tak, jakby wyciągał coś spod płaszcza - powiedziała w końcu.

- Całkiem prawdopodobne. Pewnie to były dymne pociski, które rzucił na stoisko

Dana. Nie widziałaś, co miał pod kostiumem?

Rainey zmarszczyła brwi.

- Nie zwróciłam na to uwagi. Już ci mówiłam, że denerwowałam się przed występem.

- Po wybuchu było wielkie zamieszanie. Jedni biegali, inni krzyczeli, kobiety piszczwały. To chyba zauważyłaś.

- Jasne. Nawet się obejrzałam, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ale nie wróciłam. Konkurs miał się zaraz zacząć i za nic nie chciałam się spóźnić. Zauważyłam tylko, że facet przebrany za Szkarłatnego Upióra gdzieś biegnie.

- W twoją stronę? - Jupiter aż się wychylił do przodu.

- Nie, coś czerwonego mignęło mi w okolicach wyjścia.

- A dokąd ty poszłaś?

- Wszyscy startujący w konkursie czekali w drugim końcu sali. Tam, gdzie artyści i pisarze podpisują książki.

- I jesteś pewna, że Szkarłatny Upiór biegł do wyjścia?

- Jak można być czegoś pewnym w takiej chwili? - wzruszyła ramionami Rainey. - Było pełno dymu. Zauważyłam tylko czerwoną plamę w tamtym kącie. Potem nie widziałam nikogo w podobnym kostiumie.

- Nikt go nie widział. Nawet ludzie, którzy stali obok wyjścia. A wydawałoby się, że nie można przeoczyć faceta w czerwonym habicie! - Jupiter gorączkowo myślał, o czym by jeszcze porozmawiać z Rainey, ale nic nie przychodziło mu do głowy. - To już wszystkie pytania, które chciałem ci zadać.

- Teraz moja kolej, dobrze? - uśmiechnęła się ona.

Jupiter nie był w stanie nic wyjąkać. Kiedy tak stał wpatrując się w nią, usłyszał nagle czyjś głos:

- Rainey, kochanie...

- Chyba mama cię woła - powiedział szybko. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Może uda ci się znaleźć jakąś kieszeń... - wręczył jej wizytówkę, patrząc z powątpiewaniem na obcisły kostium dziewczyny.

- Nie martw się, gdzieś ją wcisnę.

Kilka minut później pojawił się Bob.

- Złapałem Franka Carne'a - oznajmił. - Rottweiler mówił prawdę. Pokłócili się przed salą kinową.

- O co? - Jupiter nie miał wątpliwości, że Bob dowiedział się wszystkiego.

- Nie uwierzysz! O ilustracje w ostatnim zeszycie "Szkarłatnego Upióra". Rottweiler

zatrudnił nowego rysownika, a Carne uznał, że człowiek jest do niczego. Nie umie robić światłocieni.

- Cooo?!

- To, co słyszysz. Podobno Tresh stosował różne niesamowite efekty. Czarne cienie na trupiej masce były podobno świetne. Ten nowy wszystko usunął i Carne krzyczał, że Szkarłatny Upiór stał się postacią z głupich książeczek dla dzieci.

- Ciekawe. Złodziej miał czarne cienie na masce. Powinien się spodobać Frankowi.

- Spodobać?

- Innymi słowy - wyjaśnił Jupiter - taką maskę założyłby zwolennik tradycji. I jeszcze jedno, pod szeroką peleryną niejedno można ukryć - poklepał się znacząco po swoim wydatnym brzuchu. - Chodź, trzeba znaleźć Pete'a. Musimy przecież gdzieś usiąść.

- Zadbaliśmy o to. Carne zaprosił nas do swojego stołu. Nagle niedaleko od nich zaczęło się zamieszanie. Kiedy podeszli bliżej, zauważyli Leo Rottweilera, który złapał Tresha za ramię.

- Za dużo gadasz, Tresh - wysapał ze złością. - Słyszałem, co o mnie mówiłeś.

- Nie lubisz, kiedy ktoś mówi, że jesteś oszustem? Poczekaj chwilę, zaraz usłyszysz moje przemówienie.

- Przebrałeś miarę! - Rottweiler pchnął Tresha i zacisnął pięści, gotowy do ataku.

Pisarz zrobił to samo. Pobiliby się, gdyby przez tłum nie przepchnął się barczysty ochroniarz, który odciągnął Tresha. Cios Rottweilera wylądował o włos od policzka przeciwnika. Tymczasem z drugiej strony nadbiegł Axel Griswold i złapał Lea za rękę.

- Pięknie, Rottweiler, naprawdę pięknie - szydził Tresh.

Pospiesznie ich rozdzielono i usadzono w przeciwległych końcach sali. Publiczność także zaczęła zajmować miejsca. Bob i Jupiter znaleźli Pete'a.

- Dowiedziałeś się czegoś o Treshu? - spytali w drodze do stołu.

- Podczas kradzieży nie było go na pewno wśród rysowników. Rozmawiałem z kilkoma osobami. Nikt go nie widział.

- To znaczy, że musimy zadać panu Treshowi kilka pytań - ożywił się Bob.

- Najpierw coś zjedzmy - Jupiter popatrzył smutnym wzrokiem na przywiedle sałatki.

- Czy ktoś zamieni swoją sałatę na resztę kolacji? - zapytał.

Frank Carne zgłosił się od razu. Okazało się, że Jupiter nie wyszedł źle na tej zamianie, gdyż podano twardego jak guma kurczaka i przypalone ziemniaki.

- Nie możemy narzekać - szepnął Bob do Pete'a. - I tak jesteśmy tu za friko.

Po kolacji zaplanowano przemówienia. Pierwszym mówcą okazał się Tresh.

- Chciałem rozpocząć od podziękowań Axelowi Griswoldowi za zaproszenie mnie tutaj. Po raz pierwszy, odkąd przyjechałem do Kalifornii, ktoś chce płacić za to, co robię.

Odpowiedział mu słaby śmiech zebranych.

- Wiem - ciągnął Tresh - iż niektórzy uznali, że całkowicie porzuciłem pracę nad nowymi komiksami. Moi czytelnicy nie muszą się martwić. Właśnie skończyłem pracę nad nowym bohaterem. Zobaczycie go wkrótce.

Rozległy się gromkie oklaski.

- Dla kogo pan teraz pracuje? - krzyknął głos z sali.

- Tym razem dla nikogo, tylko dla siebie. Zamierzam wydawać na własny koszt. To znacznie prostsze i co ważniejsze - wbił wzrok w Rottweilera - nikt mnie nie oszuka. - I dalej opowiadał o zaletach niezależnych wydawnictw.

Rottweiller zaczerwienił się aż po czubek łysej głowy.

- Słyszałem plotki, że Steve pracuje nad czymś nowym - Frank Carne pokiwał głową z aprobatą. - Bardzo się cieszę, że to prawda. Ciekawe tylko, skąd weźmie forsy?

- Mówił, że jest tutaj, żeby zarobić pieniądze - powiedział Jupiter.

- Potrzebuje dużo więcej, niż uda się mu zarobić na kongresie. Nie masz pojęcia, ile kosztuje wydanie książki! Prywatni wydawcy biorą kupę forsy.

- Kolejne pytanie do Tresha - mruknął Bob.

Jupiter kiwnął głową, Tresh nie miał alibi. Teraz doszedł motyw. Spojrzał na kolegów. Pete ledwo tłumiał ziewanie.

- Co wy na to, żeby odłożyć przesłuchanie Tresha do jutra? - zaproponował półgłosem Juve, a potem dodał głośno: - Chyba muszę się trochę przespać.

- Dobry pomysł - zgodzili się Bob i Pete.

- To dobranoc, chłopaki. Ja też będę się stąd związał - Frank spojrzął na zegarek. - Za chwilę Rock rozwali armię Niewydarzonych jedną bombą bluteliem.

Detektywi spojrzeli po sobie rozbawieni. Wychodząc minęli stolik Rainey, która popatrzyła na nich z uśmiechem, Jupiter zastanawiał się, czy uśmiech przeznaczony był dla niego, czy dla Boba. Ta myśl gnębiła go jeszcze w pokoju. Z sąsiedniego łóżka dobiegały go równe oddechy kolegów, a on nie spał, mając przed oczami twarz Rainey.

Wydawało się, że go lubi. A gdyby tak... Westchnął ciężko. Nie ma mowy. Miłosne podboje to nie jego działka.

Nagle cicho zaskrzypiały drzwi. Jupiter usiadł na łóżku. Ktoś włamywał się do ich pokoju!

ROZDZIAŁ 8

ATAK CYKLOPA MORDERCY

Drzwi się otworzyły. W świetle padającym z korytarza zamajaczyła niewyraźna sylwetka. Potem drzwi zamknęły się automatycznie i Jupiter nic już nie widział. Po omacku sięgnął do lampki nocnej, ale w ciemnym, obcym pokoju źle obliczył odległość. Lampa spadła z hukiem.

- Co się dzieje? - Bob i Pete wyrwani z pierwszego snu mrugali nieprzytomnie oczami.

Kiedy zorientowali się, że w pokoju jest ktoś obcy, wyskoczyli z łóżek. Rozpoczęła się dzika szamotanina. Jupiter, z pięścią gotową do ciosu, zawahał się. A co będzie, jeśli w ciemności uderzy przez pomyłkę jednego z chłopaków? Napastnik nie miał żadnych wątpliwości - każdy tutaj był jego wrogiem - walił więc z całych sił.

Jupiter przekonał się o tym na własnej skórze, kiedy ciężki but włamywacza trafił go w żołądek. Z trudem złapał oddech. Potem poleciał w tył. Na szczęście wykorzystał umiejętności z treningów dzudo. Upadek był kontrolowany. Jupe spadł na lewy bok i podniósł się najszybciej jak umiał. Gdyby tylko udało się mu zapalić światło...

Rozległ się jęk Boba, a potem jego okrzyk:

- Uwaga, ucieka!

Ktoś szarpał się w ciemności. Na szczęście palce Jupitera natrafiły w końcu na kontakt. Światło zalało pokój dokładnie w chwili, kiedy włamywacz szarpnął klamkę i wypadł na korytarz.

- Za nim!

Napastnik zniknął właśnie za zakrętem korytarza. Pobiegli za nim, skręcili i... Nic. Pusto. Nikt nie zdołałby przebiec w kilka sekund takiej odległości.

- Musiał schować się w jakimś pokoju - wysapał Bob, który trzymał się za żołądek - facet załatwił i jego.

- Albo... - Pete zauważył małą wnękę z napisem "Wyjście awaryjne".

Szarpnął drzwi - za nimi były schody przeciwpożarowe. Z dołu dochodził hałas szybkich kroków.

- Jest tutaj! - krzyknął.

Żelazne stopnie zatrzęsły się, kiedy na nie wpadli we trzech. Gość na dole już wiedział, że są na jego tropie.

Jupiter czuł, jak ręka zwija się mu w pięść. Myślał tylko, jak złapać tamtego. Chciał mu przyłożyć za skradzione komiksy i - za cios, który wciąż czuł w brzuchu.

Schody kończyły się w najciemniejszym kącie podziemnego garażu. Grube filary zasłaniały światło, a żarówka nad drzwiami była przepalona.

Pete wyrwał się do przodu, rozejrzał się dokoła i wrzasnął:

- Tędy! - I prawie doganiając ciemną postać, rzucił im przez ramię: - Jest mój. Za to, co mi zrobił na balkonie.

Skoczył na niego bykiem. Normalnie takie uderzenie wysportowanego Pete'a zwałało na ziemię każdego przeciwnika. Tym razem trafił na lepszego od siebie. Facet odwrócił się nagle i Pete nadział się w locie na jego wyciągniętą pięść. Zamroczony, odbił się plecami od najbliższego filara i padł na ziemię.

- Pete! - Bob zatrzymał się i ukląkł obok przyjaciela. - Nic ci nie jest?

- Chyba wykopał ze mnie resztkę sił - wymamrotał Pete, z trudem gramoląc się na nogi.

Jupiter kątem oka zauważył, że Bob przystanął, żeby pomóc Pete'owi. Teraz był sam. Obiegł następny filar, gdy nagle oślepiły go przednie reflektory jakiegoś samochodu. A właściwie - reflektor, bo samochód przed nim był jak cyklop z jednym okiem. Z rozmiaru światła wnosząc, musiała to być furgonetka.

Kierowca wcisnął gaz do dechy i pojazd z hukiem ruszył wprost na Jupitera, który ledwo zdołał odskoczyć. Krzyknął, by ostrzec kolegów - Bob i Pete padli na ziemię tuż obok przejeżdżającego samochodu.

Jupiter pozbierał się pierwszy i pognął w stronę wyjazdu z garażu. Ciężarówka minęła właśnie rampę i zniknęła pośród innych samochodów.

- Nie zauważyliście przypadkiem numeru rejestracyjnego?

- Numer rejestracyjny! Chyba zwariowałeś! - oburzył się Pete.

- Gdybym postać jeszcze chwilę, to numer odcisnąłby się na mnie jak nic - dodał Bob.

- Ja też nie zauważyłem numerów - przyznał Jupiter. - Ani kierowcy. Czy w ogóle coś zauważyliśmy?

- Ciemna ciężarówka. Chyba szara - powiedział Bob.

- Nie, czarna - upierał się Pete.

- Według mnie, ciemnozielona - uważał Jupiter.

- Jedno przednie światło było przepalone.

- Ciemna furgonetka z jednym światłem. Myślę, że w Los Angeles będzie ładne kilka tysięcy takich - powiedział z przekąsem Jupiter.

- Dajcie sobie z tym spokój przez chwilę - przerwał im Bob. - Teraz mamy inny problem.

- Jaki? - Jupiter i Pete spojrzeli na niego.

- Czy któryś z was ma przypadkiem klucz do pokoju? Przypominam, że drzwi zamykają się na zatrask.

Jupiter miał na sobie piżamę, Pete - krótkie, treningowe spodenki, a Bob był w spodniach od dresu związanych sznurkiem.

- Czyli musimy iść do recepcji w tych strojach. Jeśli to się rozniesie, nie będzie wątpliwości, że jesteśmy psychiczni - jęknął Bob.

- Co powiecie na mały spacer? - zaproponował Jupiter. - Mamy piękny wieczór. A poza tym, tędy jest bliżej do drzwi frontowych.

Pokazał wąski chodnik pod ścianą hotelu. Za rogiem betonowa ściana zamieniała się w eleganckie szklane panele. W małym uskoku znajdował się ogródek, pośrodku którego ustawiono wielką donicę z palmą.

- Tu są boczne drzwi - pokazał Pete. - Może uda się nam jakoś wśliznąć do środka.

Nagle w cieniu palmy coś się poruszyło. Usłyszeli jęk. Ktoś próbował wstać.

- Co się panu stało? - wykrzyknął zaskoczony Jupiter, kiedy zauważył znajomą szczupłą twarz Steve'a Tresha.

Tresh miał podbite oko, kilka siniaków i spuchniętą wargę. Poza tym był wściekły. Skrzywił się, kiedy usłyszał pytanie, ale ze względu na bolące usta musiał się opanować.

- Nie mam pojęcia, co się stało. Miałem dość hałasu, więc wyszedłem do ogrodu. Tu ktoś na mnie skoczył i już nic więcej nie pamiętam.

Tresh wstał i zrobił kilka ostrożnych kroków.

- Nieźle mnie załatwił. Nawet go nie widziałem, ale dobrze wiem, kto to był.

- Kto? - zapytał Bob.

- A kto chciał mnie pobić dzisiaj wieczorem? Leo Rottweiler, oczywiście. - Tresh podszedł do drzwi i wszedł do holu, a chłopcy tuż za nim.

Pisarz był zbyt skupiony na sobie, żeby zauważyć ich niekompletne stroje. Bob już miał zamiar podejść do recepcji, kiedy Jupiter potrząsnął głową.

- Później!

Przeszli przez cały hol, starając się nie zwracać uwagi na zaciekawione spojrzenia i śmiechy hotelowych gości. Jupiter widział, jak uszy Pete'a stają się coraz czerwieńsze. Na szczęście winda była na dole. Władowali się do środka. Tresh nacisnął trójkę.

- Wszystkie grube ryby zaproszone na kongres mieszkają na trzecim piętrze -

wyjaśnił. - Przypadkiem słyszałem, że Rottweiler mieszka w 335. Złożymy mu wizytę.

Za chwilę walił w drzwi oznaczone numerem 335. Po krótkiej chwili Leo Rottweiler je otworzył. Miał rozluźniony krawat, ale był wciąż w garniturze.

Tresh złapał go za gardło.

- Miałeś nadzieję, że ci się uda, tak? - wrzasnął piskliwie.

- Co ty robisz, Tresh! - z trudem wyjąkał przyduszony Rottweiler, gdy chłopcy uwolnili go z uchwytu pisarza.

Z pokoju dobiegł gwar zaskoczonych głosów. Axel Griswold już biegł w ich stronę. Za jego plecami zauważyli spory tłumek ze szklankami w rękach.

- Co ja robię? - Tresh znowu próbował rzucić się na Rottweilera. - Otóż ja mam zamiar przefasonować twoją gładką buzię, tak jak ty zrobiłeś z moją.

- O czym ty mówisz? - wyjąkał Leo.

- Nie udawaj niewiniątka - krzyczał Tresh histerycznym tonem. - Przecież dopiero co się na mnie zacząłeś.

- Kiedy dokładnie? - dopytywał się Griswold.

- Kilka minut temu! Zresztą jego zapytaj.

Griswold potrząsnął głową.

- Niemożliwe - powiedział. - Przyjęcie w tym pokoju trwa już jakiś czas. Leo nie mógł wyjść, bo jest gospodarzem.

- Byłoby to rzeczywiście trudne, ale nie niemożliwe - odezwał się Jupiter.

- Być może - kiwnął głową Griswold. - Ale ja sam mogę zaświadczyć, co Leo robił przez ostatnie pół godziny. Siedzieliśmy tam - wskazał wielką kanapę stojącą na środku pokoju - i rozmawialiśmy.

Popatrzył Jupiterowi prosto w oczy.

- Nie sądzę, żebym nie zauważył, gdyby Leo wyszedł pobić Steve'a.

ROZDZIAŁ 9

SPRZECZNE TROPY

Następnego ranka Jupiter zbudził się wcześniej. Ostrożnie wysunął się z łóżka, żeby nie zbudzić Pete'a ani Boba, i odszukał w torbie spodenki kąpielowe. Potem narzucił na siebie szeroką koszulę i upewniwszy się wcześniej, że ma klucz, wyszedł na palcach z pokoju.

Jupiter zdecydował, że pusty o tej porze basen będzie najlepszym miejscem do rozmyślań. Liczył, że pływanie pobudzi jego mózg do pracy na najwyższych obrotach, jak dotąd, analiza wszystkich faktów i opinii dała niewiele. Za każdym razem, kiedy wydawało się, że posuwają się o krok do przodu, sprawa gmatwała się jeszcze bardziej.

Taki na przykład Steve Tresh. Po bliższym poznaniu okazało się, że opinia "wściekłego faceta" wcale do niego nie pasuje. Owszem - czasami się złościł, ale wykazywał też wielkie poczucie humoru. Jupiter z trudem mógł wyobrazić go sobie w roli złodzieja.

Co więcej, byli pewni, że to nie Tresh włamał się nocą do ich pokoju. Bitwa, która rozegrała się w ciemności, nie mogła zostawić aż takich śladów na jego ciele! Tresh przypominał worek treningowy po dłuższych ćwiczeniach bokserów. Tymczasem oni nie mieli kwalifikacji bokserów. Kto zatem tak go posiniaczył?

Czy mógł to zrobić sam, żeby odsunąć od siebie podejrzenia? Nonsens. Jupiter parsknął śmiechem wyobrażając sobie, jak Tresh wpada na parking, tłucze głową o maskę samochodu, żeby się okaleczyć, odjeżdża, porzuca gdzieś ciężarówkę, wraca i znajduje sobie miejsce pod palmą. To nie miało sensu, nie mówiąc już o fakcie, że pomiędzy zniknięciem samochodu a odnalezieniem Tresha w ogródku minęło bardzo niewiele czasu.

W takim razie, kto pobił Tresha? Dlaczego? Czy miało to związek z kradzieżą komiksów? W tej sprawie Tresh nie przestał przecież być głównym podejrzanym. Ale bójka dowodzi, że jeszcze ktoś jest wmieszany w całą awanturę. Nowa zagadka do rozwiązania.

Wyszedł z windy i skierował się do holu, kiedy usłyszał swoje imię. Obejrzał się i zobaczył Axela Griswolda pędzącego w jego stronę.

- Wcześniej wstałeś - usłyszał.

- Pan też. I to po nocnym przyjęciu!

- Nie mam wyjścia - uśmiechnął się Griswold. - Doświadczenie uczy, że im wcześniej zaczynam pracować, tym mniej wpadek zdarza się później. I tak prezentuję się nieźle w porównaniu z facetami, którzy spędzili ostatnie dwadzieścia godzin w Sali Złotej oglądając

“Asteroida Rocka”. Pożegnałem się ze spaniem, od kiedy zdecydowałem się na zorganizowanie kongresu.

Mimo to Griswold nie wyglądał na człowieka, który nie dosypia. Miał na sobie świeże dżinsy i odprasowany firmowy podkoszulek. Bystre oko i plik papierów pod pachą świadczyły, że jest najzupełniej gotowy do pracy.

Patrząc na niego, Jupiter poczuł się natychmiast jak wymięty kapeć.

- Jak wam idzie śledztwo?

- Wszystko, czego się dotkniemy, gmatwa się jeszcze bardziej. Na pewno sam pan się domyślił, że Steve Tresh jest głównym podejrzanym, szczególnie po tym, jak podważył pan jego alibi. Ale jeśli to on jest złodziejem, dlaczego splądrowano jego pokój? Dlaczego go pobito?

Griswold z zainteresowaniem pokiwał głową.

- Do jakich wniosków doszliście? - spytał.

- Na razie do żadnych. Jedno jest pewne. Jest ktoś, kto za wszelką cenę chce uprzykrzyć Treshowi życie. To daje do myślenia. Może przegapiliśmy wcześniej jakiś ślad? Na razie Tresh wydaje się bardziej ofiarą niż oszustem.

Griswold jak zwykle spojrzął na zegarek i zabierał się do odejścia.

- Dziękuję, że podzieliłeś się ze mną przemyśleniami - powiedział i z przejętym wyrazem twarzy niespodziewanie dodał: - Jest jeszcze jedno wytłumaczenie tego, co przytrafiło się Treshowi.

- Jakie?

- Pamiętaj o starym przysłowiu. Jeśli wejdiesz między wrony...

Zastanawiając się, co Griswold chciał przez to powiedzieć, Jupiter wskoczył do wody i rozpoczął żmudną pracę związaną z pokonywaniem kolejnych długości basenu. Nigdy nie był typem sportowca, ale bardzo lubił pływać. Cieszyło go, że każdy silny ruch nóg pcha go w przód. Pływał tak, jak rozwiązywał kryminalne zagadki - spokojnie i metodycznie.

Zdecydował się na kraula. Włączył wewnętrznego “autopilota” i zaczął dopasowywać w głowie fragmenty układanki.

Ktoś napadł na Steve’a Tresha. Ktoś napadł na Pete’a, kiedy buszował w pokoju Tresha. A ostatniej nocy ktoś pobił ich trzech. Nie mówiąc o tym, że ktoś w przebraniu Szkarłatnego Upióra ukradł cenne komiksy.

Czy ten “ktoś” to była jedna i ta sama osoba?

Pete nie widział twarzy napastnika, bo ukryta była pod maską. Zauważył za to, że

mężczyzna był zbudowany jak atleta. Ten jeden fakt eliminował wielu ludzi podejrzanych o kradzież: Tresh był wysoki i chudy, Carne - gruby i niski, Rottweiler miał wielki brzuch, a Rainey Fields w ogóle się nie kwalifikowała.

Wniosek był prosty. Albo złodziejem jest jeszcze ktoś inny, albo w sprawę wmieszana jest więcej niż jedna osoba. Rozważając możliwe kombinacje, Jupiter usłyszał za sobą plusk.

Obejrzał się. Do wody wskoczyła dziewczyna w czerwonym kostiumie kąpielowym. Krótkie, ciemnobrązowe włosy oblepiały jej twarz. Zaczęła płynąć równoległym torem i po krótkiej chwili go wyprzedziła.

Raz, dwa, raz, dwa - Jupiter sunął w swoim tempie i kiedy wreszcie dotarł do końca basenu, ona była o połowę długości z przodu. Zrobił nawrót i w środku minęli się znowu. Zauważył, że była zgrabna, opalona i że pływała z wyraźną przyjemnością. I dużo szybciej niż on.

Po chwili czuł się jak stara barka, obok której zgrabnie prześlizgują się wodoloty. Nawet go nie korciło, żeby zacząć wyścigi. Przy tej małej nie miał najmniejszych szans!

Po mniej więcej dwudziestu długościach (na niecałe dwanaście Jupitera) dziewczyna podpłynęła do brzegu. Nie spuszczał z niej oka. Wskoczyła z wody, szybkim gestem przegarnęła włosy i podeszła do leżaka, obok którego stała spora plażowa torba.

Była wspaniała. I bardzo młoda. Wszystko to zauważył Jupiter z punktu obserwacyjnego na środku basenu.

Dziewczyna przestawiła leżak przodem do słońca i wyciągnęła się na nim, zamykając oczy. Nie widziała, że z przewróconej torby wysypała się cała zawartość.

Ale Jupiter widział.

Widział, jak na płytce tarasu wypadł plik komiksów!

Był tak zaskoczony, że przestał ruszać rękami i natychmiast znalazł się pod wodą. Kiedy wypłynął prychnąc i plując, okazało się, że się nie mylił.

Na tarasie rzeczywiście leżały komiksy. Nawet z tej odległości rozpoznał wystające z nich wizytówki agencji "Trzej Detektywi". A przecież wszystkie komiksy z wizytówkami były w pudle w ich pokoju.

Wszystkie, z wyjątkiem tych, które skradziono ze stoiska Dana DeMenta!

Nie było żadnych wątpliwości. Dziewczyna miała w torbie komiksy, które zabrał Szkarłatny Upiór.

ROZDZIAŁ 10

DZIEWCZYNA O WIELU TWARZACH

Jupiter wypadł z wody tak gwałtownie, że spłoszona dziewczyna podskoczyła na leżaku i wbiła w niego przestraszony wzrok.

Im dłużej patrzył w jej brązowe oczy, tym bardziej był pewny, że ją zna. Tylko kiedy rozmawiał z nią poprzednim razem, była blondynką, nie brunetką.

- Rainey! - wybuchnął. - Co tutaj robisz?

Rainey Fields ukradkiem rozejrzała się dokoła z wyraźnym poczuciem winy.

- Nie powiesz nikomu, prawda? Nie myślę, żeby ktoś jeszcze mnie zauważył...

- Dlaczego miałbym nikomu nie mówić? - powiedział Jupiter surowo, nie spuszczać oka z komiksów.

- Błagam cię, nie mów nikomu - Rainey złapała go za rękę. - Jeśli to się wyda, mama mnie zabije.

Czegoś takiego Jupiter nie oczekiwał. Zamurowało go zupełnie. Tymczasem Rainey mówiła dalej:

- Myślałam, że tak wcześnie nikogo tu nie będzie. Dlatego przyszłam popływać. Ale jeżeli mama to odkryje...

Jupiter potrząsnął głową. Coś się tutaj nie zgadzało.

- O czym ty mówisz? - zapytał w końcu.

- O tej idiotycznej blond peruce! Przecież nie mogę mieć jej na głowie, kiedy pływam. Wydawało mi się, że w zwyczajnym kostiumie, bez makijażu, z krótkimi włosami nikt mnie nie pozna. Ale się pomyliłam.

Usiadła podciągając kolana pod brodę.

- Zauważyłam cię od razu - ciągnęła. - A że się nie odezwałeś, byłam pewna, że mi się udało. Po prostu mam pecha, że trafiłam na detektywa.

Popatrzyła na niego błagalnie.

- Mama się wścieknie. Nie wolno mi pokazywać się bez kostiumu Gwiazdnej Dziewczyny, bo nie dostanę kontraktu. Zawsze mi mówi...

- Poczekaj - przerwał jej Jupiter. - Chcę, żebyś mi powiedziała, co to jest? - podniósł torbę i pokazał jej zawartość.

- O co ci chodzi? - Nagle Rainey zauważyła komiksy. - Co to tutaj robi?

- Właśnie, co?

- To nie moje - dziewczyna była szczerze zdziwiona.

Jupiter z zainteresowaniem przyglądał się zmiennym uczuciom, które odczytywał na jej twarzy. Zaskoczenie... Wyraźną ulgę, gdy zauważyła wizytówkę... Wreszcie złość, kiedy przeczytała tekst.

-To twoje wizytówki! I twoje komiksy! Dlaczego próbujesz mi grozić?

Nagle sobie przypomniała i oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

- Ach, nie. Słyszałam, że wasze komiksy też skradziono. Chyba nie chcesz powiedzieć, że to te?

Oglądając całe przedstawienie, Jupiter zastanawiał się, czy można aż tak udawać. Albo Rainey zasługiwała na Oscara, albo mówiła prawdę. Zdecydował się na drugą wersję.

- Tak, to właśnie te. Warte ponad trzysta dolarów. Ciekawe, jak znalazły się w twojej torbie?

- Nie mam pojęcia - Rainey opadła na leżak z ulgą, ale Jupiter od razu zauważył, że wciąż trzyma na kolanach zaciśnięte pięści.

Domyślił się, co ją martwi. Tym razem nie chodziło o takie sobie wymówki rozżłoszczonej matki. Skradzione książki odnalezione przez detektywa w jej własnej torbie! To naprawdę mogło zaszkodzić w karierze.

Kiedy tak na niego patrzyła, wyglądała jak bezradna dziewczynka. Nie tylko dlatego, że była bez makijażu.

- Ale to twoja torba, prawda? - zapytał łagodnie.

Rainey zajrzała do środka, wyjęła grzebień i ciemne okulary.

- Są tu moje rzeczy, więc to musi być moja torba - odpowiedziała drżącym głosem. - Ale przysięgam ci, że nie wiem, skąd wzięły się komiksy.

- Czy widziałaś się z kimś dziś rano? A może zostawiłaś gdzieś tę torbę?

- Nie. Cały pomysł polegał na tym, żeby nikogo nie spotkać. Inaczej mogłabym zostać rozpoznana. Torbę miałam cały czas przy sobie. Z wyjątkiem chwili, kiedy pływałam, oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył Jupiter.

Był zły na siebie. Rozejrzał się dookoła. Ani żywej duszy. Jedyne ewentualny świadek wydarzenia, Jupiter Jones, był zbyt zajęty obserwowaniem Rainey w czerwonym kostiumie kąpielowym, żeby cokolwiek zauważyć. Złodziej mógłby nawet przyjść w towarzystwie orkiestry dętej, a on nie zwróciłby na niego uwagi!

- Na pewno chcesz je z powrotem - usłyszał cichy głos Rainey. - Masz, przecież i tak są twoje. Tylko dlaczego były w mojej torbie?

Nagle uśmiechnęła się szeroko.

- Wiesz, to przypomina sceny ze starych filmów kryminalnych. Głupkowaty szpieg przekazuje tajną informację niewłaściwej osobie.

Jupiter, który wycierał ręce, żeby nie zmoczyć komiksów, zastanowił się nad tym przez chwilę. Czy to możliwe, żeby książki miały być podrzucone komu innemu?

- To zupełnie bez sensu - powiedział i zaraz się zreflektował. - Chciałem powiedzieć...

- Wreszcie mówisz normalnie - zaśmiała się. - Nie bredzisz jak głupek.

- Aha - powiedział z nieszczęśliwą miną i zmienił temat. - Nie brakuje żadnego. Czy to możliwe, żeby w ten sposób złodziej pozbywał się rzeczy, których nie chce? Ale dlaczego wybrał ciebie?

Nagle poraziła go niespodziewana myśl. Widział już mamę Fields w akcji! Ta kobieta umiała wywęszyć najdrobniejszą sprawę, która pomogłaby córce w karierze! Czy można sobie wyobrazić coś lepszego niż ta historia? Rainey znajduje skradzione komiksy!

Ale żeby zrobić taki show, trzeba najpierw je mieć. Czyli - wcześniej je ukraść.

Popatrzył na Rainey. Chodząca niewinność. Oczywiście, że ona nie mogła tego zrobić. Przecież sam ją wtedy widział. Ale widział ją tuż obok Szkarłatnego Upiora. Czyżby pani Fields?... Mogła nawet nic nie powiedzieć córce.

- Tutaj jesteś - tuż za plecami usłyszał nagle jadowity szept.

Odwrócił się. Pani Fields patrzyła na córkę udając, że go nie dostrzega.

- Co to za pomysły, żeby zniknąć bez słowa? Szukam cię po całym hotelu i gdzie cię znajduję? Siedzisz jakby nigdy nic i papłasz z tym niby detektywem!

Zmierzyła Jupitera wzrokiem o sile dwóch megaton.

- Przepraszam, mam - Rainey potulnie podniosła się z fotela i pozbierała rzeczy.

- Załóż to natychmiast - pani Fields wyjęła zawczasu przygotowany słomkowy kapelusz. - Pamiętaj o okularach. Może nam się uda i nikt cię nie zauważy.

Potem złapała córkę za rękę i powlokła do hotelu.

- Sama nie wiem, czego jeszcze można się po tobie spodziewać! Z takim trudem załatwiłam ci telewizyjny wywiad na dziś. Przecież musisz się przygotować. Całkiem zmarnujesz sobie cerę przez ten chlor w basenie. Nie chcę mówić o tym, że złamałaś podstawową regułę...

Nagle przerwała potok wymowy i odwróciła się do Jupitera.

- Młody człowieku - powiedziała. - Mam szczerą nadzieję, że nie wydasz sekretu mojej córki. Chyba pragniesz, żeby jej się powiodło, prawda? A jeśli zrobisz coś, żeby zniszczyć jej karierę, będziesz mieć ze mną do czynienia!

Zawstydzona Rainey stała za plecami matki. Na odchodnym rzuciła mu bezradny uśmiech.

Patrzył za nimi. Sukienka pani Fields powiewała jak flaga. Była to obszerna szata, wielka jak namiot.

Jupiter uświadomił sobie, że pod kostiumem Szkarłatnego Upiora niekoniecznie musiał ukrywać się mężczyzna.

ROZDZIAŁ 11

REKLAMA PRZEDE WSZYSTKIM!

Bob i Pete jeszcze drzemali, kiedy Jupiter wmaszerował do pokoju numer 316. Na widok komiksów obaj ocknęli się w jednej chwili.

- Skąd to masz? - Pete usiadł na łóżku, przecierając oczy ze zdumienia.

- Podwodne poszukiwania - odpowiedział Jupiter z kamienną twarzą.

Już miał wyjaśnić im okoliczności, w jakich znalazł komiksy, gdy rozległ się dzwonek telefonu. Pete z kompletnie zaskoczoną miną podniósł słuchawkę.

- Do ciebie, Bob. Twój tata.

- Cześć, tato. Co się stało? - Bob słuchał przez chwilę. - Dobra. Zajmę się tym.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do kolegów:

- Dzwonił Sax Sendler. Właśnie umawia jakąś kapelę na występ w klubie Van Nuysa. Trzeba tam zawieźć taśmę z próbką ich muzyki. Zgadnijcie, kto ma to zrobić?

- Nie przejmuj się. Mogę cię podwieźć - zaproponował Pete.

- Jadę z wami. Równie dobrze mogę opowiedzieć wam wszystko po drodze - oznajmił Jupiter.

Bob połączył się ze swoim szefem, żeby zawiadomić, że pojawi się u niego za godzinę. Po chwili szli już do windy. Kiedy mijali pokój 314, otworzyły się drzwi. Zobaczyli młodziana ze sterczącymi włosami ufarbowanymi na jasny blond. W rękach trzymał kartonowe pudło.

- O.K, Axel. Biorę to na dół - rzucił przez ramię.

Gdy przyjechała winda, był jeszcze daleko w tyle.

- Hej, chłopaki - usłyszeli. - Poczekajcie na mnie, dobrze?

- Jasne! - Pete zablokował drzwi.

- Wielkie dzięki - blondyn wepchnął się do środka. - Nie chciałem czekać z takim ciężarem. Uuu - krzyknął, bo pudło zaczęło wysuwać się mu z rąk.

Jupiter złapał je i przy okazji zajrzał do środka. Zobaczył stosy kaset wideo.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedział facet. - Czy możecie jeszcze nacisnąć "Parter"?

Wysiadł w holu, a Pete, Bob i Jupiter pojechali do podziemnego garażu.

Na autostradzie było prawie pusto, więc udało się im dojechać do Rocky Beach w stosunkowo krótkim czasie. Sax natychmiast pojawił się przed swoim mieszkaniem, które służyło mu także za biuro.

- Właściciel klubu zadzwonił i wyrwał mnie z głębokiego snu - powiedział wręczając Bobowi małą paczuszkę. - Nigdy nie myślałem, że ktokolwiek w tym zawodzie jest na nogach o tej porze dnia - dodał tłumiąc ziewanie.

Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, że trzech chłopcy robią to samo.

- Widzę, że się ze mną zgadzacie - powiedział. - Tu jest adres. Myślę, że dojazd nie zajmie wam dużo czasu. Nie prosiłbym, gdyby to nie było ważne.

- W porządku - machnął ręką Pete. - I tak nic robiliśmy nic.

- ...wielkiego - mruknął Jupiter.

W drodze powrotnej na autostradzie zaczęły się korki. Pete zjechał na boczne ulice, ale w okolicach Santa Monica znowu zmienił trasę.

- Coś mi się wydaje - zaśmiał się Bob - że wiem, dokąd jedziemy.

- Pomyślałem sobie, żeby zajrzeć do Imperium Szalonego Dana, skoro jesteśmy tak blisko. Nie daje mi spokoju coś, co widziałem tam wczoraj.

Zaparkował kilka budynków dalej, obok zniszczonej zielonej furgonetki, tej samej, do której DeMento ładował poprzedniego dnia paczki z książkami.

- Jupiter mówił, że ciężarówka, która nas prawie stratowała, mogła być zielona. Wtedy przypomniałem sobie o tej - wyjaśnił.

- Ale w Los Angeles są setki zielonych ciężarówek - skrzywił się Jupiter.

- Nie zaszkodzi sprawdzić - Pete wysiadł, żeby obejrzeć przednie światła samochodu Dana.

- No i mamy naszego cyklopa. Przedni reflektor jest stłuczony - powiedział po chwili.

W drodze powrotnej próbowali uporządkować fakty.

- Jeśli to DeMento o mało nas wczoraj nie rozjechał, to znaczy, że on jest osobą, która włamała się do naszego pokoju - mówił Bob. - Ale dlaczego to zrobił? Przecież dla niego pracujemy.

- A jeśli mamy tylko odwrócić od niego uwagę? - zastanawiał się Jupiter.

Bob popatrzył na niego uważnie.

- Myślisz, że najpierw ukradł komiksy, a potem zaproponował wyświetlenie sprawy trójce niepoważnych nastolatków. Ma to sens... - pokiwał głową. - Jest też wystarczająco dobry motyw - reklama.

- W ten sposób każdy na kongresie usłyszał o kradzieży na stoisku Szalonego Dana - Jupiter kontynuował wątek. - Założę się, że wszyscy przyszli sprawdzić to osobiście.

Pete spojrział z uznaniem.

- A Dan przygotował większą ilość towaru - dodał. - Sami widzieliśmy, że przyjechał

do sklepu po nowe komiksy.

Zastanowił się przez chwilę.

- Tylko że on nie mógł być Szkarłatnym Upiorem. Widzieliśmy go przecież w czasie całego incydentu.

- On nie mógł, ale mógł jego asystent - zauważył Jupiter. - Pamiętacie? DeMento wysłał go gdzieś tuż przed pojawieniem się Upiora.

- Wszystko pięknie się układa - powiedział Pete. - Mam tylko jedno pytanie. Czy można postawić komuś zarzut, że okradł sam siebie?

- Nie ma to sensu - wzruszył ramionami Bob. - Zrobilibyśmy mu jeszcze większą reklamę. Jeśli naprawdę chcemy mu dołożyć, pokażmy mu odnalezione cudem komiksy - uśmiechnął się złośliwie.

Jupiter zaśmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Wiesz, że to całkiem dobry pomysł! Będziemy obserwować jego reakcję. Potem zastanowimy się, czy prowadzić śledztwo dalej. Trzeba przynieść komiksy do sali konferencyjnej!

Szli właśnie do siebie, gdy w drzwiach od pokoju 314 pojawił się Axel Griswold.

- Szukam was od rana, chłopaki. Czy to prawda? Wszyscy opowiadają sobie, że Rainey Fields znalazła skradzione komiksy!

- Niektóre z nich - odpowiedział Jupiter. - Te, które należały do nas.

Nie mógł się nadziwić, jak szybko mama Fields puściła w ruch maszynę reklamową.

- Jej matka nie mówi o niczym innym - powiedział Griswold, jakby czytał w jego myślach. - Krótka telewizyjna rozmowa zrobiła się teraz bardzo ważna. A propos - ona też wszędzie was szuka. Chce pożyczyć komiksy. Wymyśliła, że Rainey ma mieć je w rękach, kiedy będzie rozmawiała z dziennikarzem.

Skrzywił się.

- Będzie garstka ludzi z lokalnego wydania "Wiadomości", a ona zachowuje się, jakby mieli tu kręcić drugie "Przeminęło z wiatrem".

- Myśli pan, że posunie się do spalenia hotelu na wielki finał? - zapytał Jupiter.

- Być może tym właśnie zagroziła dyrektorowi hotelu - zaśmiał się Griswold. - Wyobraźcie sobie, że załatwiła dla Rainey specjalną windę z portierem w uniformie. Dziewczyna pojawi się przed kamerami w wielkim stylu.

Spojrzał w głąb korytarza.

- Oto i ona - powiedział. - I pomyśleć, że przyjechała na kongres jako Gwiazdka Dziewczyna, a wyjedzie stąd jako prawdziwa gwiazda.

Rainey była sama. Znów miała na sobie kostium Stellary. Mijając Jupitera obdarzyła go szybkim, niepewnym uśmiechem i nie zatrzymując się, podeszła do windy. Jupiter podejrzewał, że jej zachowanie spowodowane jest następnym atakiem tremy.

- Założę się, że mamuśka już jest na dole i ustawia reporterów - szepnął Griswold. - Przynajmniej raz nie opowiada im kompletnych łgarstw.

Zniknął w pokoju. Jupiter zastanawiał się, skąd tyle niechęci w głosie Griswolda. Przecież każda reklama działa na korzyść całego kongresu!

- Czy możemy dać Rainey na chwilę te komiksy? - spytał niespodzianie.

- Pewnie - powiedział Bob.

Pete tylko wzruszył ramionami.

Jupiter wpadł do pokoju i po chwili wrócił z komiksami pod pachą. Rainey stała wciąż przed drzwiami swojej prywatnej windy. Nerwowym ruchem poprawiała błękitną pelerynę. Czy myślała o tym, że zaczyna się jej droga do sławy? A może wolałaby na nią nie wchodzić?

Był zaledwie kilka metrów od niej, kiedy zadźwięczał dzwonek.

- Rainey, poczekaj - krzyknął i pokazał jej stos komiksów.

Odwróciła się, zadowolona, że słyszy przyjazny głos. Prawdopodobnie dlatego nie zauważyła, że z windą jest coś nie tak.

Drzwi rozsunęły się, zamiast oświetlonej kabiny ukazując ciemną czeluść.

Nagle z windy wysunęły się czyjeś ręce i brutalnie wciągnęły Rainey do środka.

ROZDZIAŁ 12

JUPITER SPIESZY NA RATUNEK

Wszyscy trzej ruszyli biegiem. Niestety. Grube, stalowe drzwi windy zamknęły się im przed nosem, urywając w pół dźwięku przerażony krzyk Rainey.

- Lecimy! - zdołał wyjąkać pobladły Jupiter.

Pognał pierwszy w kierunku schodów przeciwpożarowych, na których poprzedniej nocy odbyła się ich pogoń za włamywaczem. Nigdy nie przypuszczał, że umie biegać tak szybko. Nawet wysportowany Pete dogonił go z trudnością, a Bob został daleko w tyle.

Jupiter zbiegał w szalonym tempie, mimo że nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Myślał tylko o jednym. Czy uda się im złapać Rainey? Przecież była w szybkiej windzie! Zeskakiwał po dwa a nawet trzy stopnie, byle tylko nie zmniejszać tempa.

Dotarli na parter, ale Jupiter nawet nie przystanął. Głupotą byłoby przypuszczać, że porywacz wysiądzie w głównym holu, pełnym ludzi i telewizyjnych kamer. Na pewno zamierzał dojechać do poziomu podziemnego parkingu. Tylko tam mógł niepostrzeżenie wymknąć się z windy razem z uprowadzoną dziewczyną.

Jupiter z całych sił natarł na drzwi do garażu. Ustąpiły natychmiast. Musiał się spieszyć. Jeśli ten człowiek zdąży wsadzić Rainey do samochodu, będzie po wszystkim...

Z kąta dochodziły odgłosy szarpaniny i przytłumione krzyki. Całe szczęście! Znaczyło to, że Rainey wciąż się broni.

- Daj spokój, mała. Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy. Powiedz tylko, gdzie schowałaś moje książki, i już cię puszczam. Jupiter znał ten głos. Wydłużył krok. Oczywiście! Nie mylił się - Dan DeMento, trzymając Rainey w żelaznym uścisku, włókł ją korytarzem.

Nagle na twarzy Dana wylądował plik komiksów. Jupiter rzucił je bez zastanowienia, ale trudno byłoby wymyślić lepszy manewr. Kompletnie zaskoczony DeMento drgnął i odwrócił się, równocześnie rozluźniając uchwyt.

Jupiter nie potrzebował więcej. Gwałtownym ruchem oderwał napastnika i pchnął na betonową ścianę z taką siłą, że tamten zachwiał się na nogach. Rainey zatoczyła się i pewnie by upadła, gdyby Jupiter nie odwrócił się w porę, żeby ją podtrzymać. Wtedy DeMento natarł na niego, ale precyzyjny prawy prosty Jupitera posłał go znów na ścianę.

Tymczasem Bob zajął się przerażoną Rainey, a Pete skoczył na pomoc Jupiterowi. We dwóch unieruchomili napastnika w kilka sekund.

- Łatwiej było walczyć z kobietą, co?! - wrzasnął Jupiter prosto w twarz Danowi.

Z trudem hamował furię, szczególnie po tym, kiedy za sobą usłyszał drżący głosik Rainey:

- Och, Bob! Uratowałeś mnie!

Jedyne, co Bob mógł zrobić, to uratować Rainey przed zderzeniem skóry z kolana. Ale nie pora teraz na tłumaczenia.

- Jesteś już bezpieczna - powiedział jej tylko Jupe. - My zajmiemy się draniem.

Rainey uspokoiła się na tyle szybko, że po krótkiej chwili usłyszeli jej okrzyk:

- Przecież tam na górze czekają na mnie! Mama mnie zabije!

Uklękła i zaczęła zbierać rozrzucone komiksy. Szybkim spojrzeniem omiotła Jupitera, ale zaraz zajęła się książkami, mówiąc:

- Dziękuję, chłopaki. Dziękuję wam wszystkim. - Potem wzięła głęboki oddech i spytała Boba: - Jak wyglądam? Przecież muszę tam iść.

- Świetnie - uspokoił ją Bob. - Możesz iść.

- Nie powiem o niczym, co się tutaj wydarzyło - powiedziała. - Pogadamy o tym później.

Jupiter słyszał, jak Rainey wchodzi do windy, ale nawet się nie odwrócił. Typowe. On robi wszystko, co w jego mocy, a potem Bob zostaje bohaterem. Musiał teraz spożytkować swoją złość bardziej konstruktywnie i wydobyć całą prawdę z Dana DeMenta!

- Najwyższy czas skończyć tę zabawę w ciuciubabkę - warknął Bob.

- O czym ty mówisz? - Dan potrząsnął głową próbując w ten sposób doprowadzić do porządku włosy, które po bójce wyglądały jak stóg siana.

- Chce nam pan wmówić, że ostatniej nocy nic się nie stało? - zapytał ze zjadliwą uprzejmością Jupe. - Przecież omal nas pan nie rozjechał.

- ... swoim ślicznym zielonym samochodem, w którym przepaliła się jedna przednia żarówka - dodał Pete tym samym tonem.

- Co? Ja was chciałem rozjechać!?

- To nie wszystko - kiwnął głową Jupiter. - Kradzież, napad, usiłowanie zabójstwa, a teraz porwanie...

- Nigdy w życiu - bronił się DeMento drżącym głosem. - Usłyszałem, że dziewczyna w złotym kostiumie odnalazła komiksy. Potem okazało się, że miała tylko wasze. To brzmiało podejrzanie.

Przerwał na chwilę, żeby nabrać powietrza.

- Widziałem ją obok stoiska minutę przed kradzieżą. Aż tu nagle okazuje się, że

“znalazła” część zabranych rzeczy. Wniosek nasuwał się sam! Dziewczyna wzięła wszystko. Postanowiłem przycisnąć ją trochę, żeby powiedziała, gdzie jest reszta. Dlatego wywabiłem portiera i pożyczyłem na chwilę jego windę.

Przez jedną straszną chwilę Jupiter myślał, że sami pomogli złodziejowi, a raczej złodziejce. Ale nie! Zaskoczenie Rainey, kiedy odkryła komiksy w swojej torbie, było prawdziwe.

- Pomylił się pan - powiedział. - Byłem przy niej, kiedy znalazła komiksy. Ktoś je podrzucił.

- Musiałem sam zacząć działać - DeMento wyglądał w tej chwili jak prawdziwy szaleniec. - Nie mogę usiedzieć po tym, jak zabrano mi najcenniejsze okazy. Wy też kręciliście się w kółko.

Dlatego zacząłem własne śledztwo. No i dlatego włamałem się do waszego pokoju.

- Chciał pan przeszukać nasz pokój? - upewniał się z niedowierzaniem Pete.

- Nie miałem pojęcia, że tam mieszkacie. Wiedziałem tylko, że ten pokój przylega do 314, który chciałem dokładnie obejrzeć.

- W 314 mieszka Axel Griswold - w głosie Boba było niedowierzenie.

- Właśnie - Jupiter walnął się ręką w czoło. - O rany! Pamiętacie faceta, który dzisiaj rano wynosił stamtąd kasety? Byłem pewien, że już go gdzieś widziałem. Teraz wiem. To on sprzedawał pirackie kasety na stoisku Kamikaze Komics!

Jupiter zauważył, że DeMento wziął się trochę w garść. Najwyraźniej nie bał się już, że zostanie zlinchowany.

- Czy jest jakiś związek między Griswoldem a Kamikaze Komics? - zapytał Dana.

- Griswold jest właścicielem Kamikaze - odpowiedział DeMento bez wahania. - Nie wiedzieliście o tym? Handluje komiksami od lat. Dlatego zorganizował kongres.

- Handluje komiksami od lat - powtórzył Jupiter, próbując dopasować tę wiadomość do reszty posiadanych informacji.

Jedno było pewne. Dan DeMento nie mógł być złodziejem. Jeśli ktoś chce reklamy, może upozorować kradzież, ale nie posunie się do porwania dziewczyny. Coś takiego mogło zrujnować interes.

Westchnął. Stracili podejrzanego. Znowu trzeba zaczynać od początku.

- Muszę zadać panu jedno pytanie - zwrócił się do Szalonego Dana. - Egzemplarz “Qupy śmiechu”, który pakował pan wczoraj do samochodu, kosztował dwieście pięćdziesiąt dolarów. Widziałem nalepkę z ceną. Za ten sam numer zażądał pan wczoraj sześciuset, a Leo Rottweiler był gotowy tyle zapłacić. Dlaczego?

- Był na nim autograf Steve'a Tresha. Prawdziwy kolekcjonerski biały kruk! -wyjaśnił DeMento.

ROZDZIAŁ 13

ZWYKŁY UŚCISK DŁONI

- Autograf Tresha? - zdziwił się Jupiter. - Nigdy nie zbierałem komiksów, ale nawet ja wiem, że Tresh nie podpisuje żadnych opowieści o Szkarłatnym Upiorze. Frank Carne opowiedział mi całą historię. Parę razy widziałem, jak Tresh odmówił podpisu.

- Masz całkowitą rację - Dan uśmiechnął się triumfalnie - ale ja mówię o Szarym Upiorze. Tresh rysował Szarego Upiora dużo wcześniej. Podejrzewam, że musiał dać komuś autograf, zanim zaczęły się jego kłopoty z wydawnictwem. I egzemplarz z jego autografem należy do mnie!

Uśmiech szybko zniknął mu z twarzy.

- Raczej - należał, zanim ten drań mi go zwinął.

- I nigdy nie pokazał go pan Treshowi, prawda - Jupiter zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

- Skądże - potrząsnął głową Dan. - Nie znałem Tresha wcześniej. A kiedy się wreszcie spotkaliśmy, zamiast z nim porozmawiać, wdałem się w awanturę z Frankiem Carne'em.

Potem odchrząknął i zapytał:

- Co zamierzacie zrobić teraz ze mną?

- Chodzi panu o takie drobiazgi jak: włamanie, napaść i świadome narażenie na niebezpieczeństwo? - zapytał Jupiter.

- Tak. - Danowi pot wystąpił na czoło.

- Jedyne, co możemy zrobić, to zameldować policji fakt nieprzestrzegania przepisów ruchu drogowego. Powinien pan naprawić to światło.

Dan odżył nieco.

- My to my - wtrącił się Bob - ale nie wiadomo, jaką decyzję podejmie Rainey. - Powiedziała, że chce z nami o tym porozmawiać.

- Muszę naprawdę już iść na górę - powiedział DeMento z wymuszonym uśmiechem. - Wiecie, gdzie mnie znaleźć. Jeśli dziewczyna zechce ze mną porozmawiać, przyjdźcie z nią do mnie. Cokolwiek zdecyduje, jestem jej winien wyjaśnienie i - przeprosiny.

- W porządku - Pete przywołał windę. - Co robimy dalej?

Jupiter nie miał wątpliwości.

- Spróbujmy znaleźć Tresha. Chcę porozmawiać z nim o autografach.

Przed salą konferencyjną dziewczyna z dwukolorowymi włosami znowu stawiała

stempelki na rękach wchodzących na kongres gości. Jupe, Pete i Bob ruszyli do wejścia, ale drogę zastąpił im typ z ułamanym zębem.

- No, no - powiedział - coś blade te pieczętki.

Obejrzał dokładnie ich dłonie i rzucił ze złośliwym uśmiechem:

- Tak mi się wydawało - wczorajsze. Chciało się wejść na gapę, co? Nieładnie, nieładnie.

Jupiter sięgnął do portfela i po chwili wszyscy trzej zostali ostemplowani napisem "KonMiKom - dzień 2". Od razu udali się w kierunku rysowników.

- Nawet jeśli Tresha tam nie będzie, ktoś nam powie, gdzie go znaleźć - postanowił Jupiter.

Stolik Tresha był pusty. Co gorsza, nikt nie wiedział, gdzie jest artysta.

- Wyszedł niedawno temu - powiedział starszy mężczyzna, który rysował tuż obok. - Nic nie mówił, po prostu sobie poszedł.

- Macie jakiś pomysł? - zapytał Bob.

- Musimy spróbować w recepcji.

Panienska z recepcji udzieliła im informacji, że Tresh jest nieosiągalny z powodu ważnego spotkania. Ma wrócić dopiero po południu. Potem obiecała przekazać mu wiadomość, którą Jupiter szybko nabazgrał na firmowym papierze.

- Poprosiłem, żeby się z nami spotkał przy stoisku Dana DeMenta - wyjaśnił kolegom.

- No to wiadomo, gdzie spędzimy resztę dnia - westchnął Pete.

Dan rozejrzał się nerwowo, kiedy ich zobaczył.

- Czy rozmawialiście już z dziewczyną? - zapytał.

Odetchnął z ulgą, kiedy dowiedział się, po co przyszli.

- Cieszę się, że mogę wam jakoś pomóc. Jak rozumiem, chcecie, żebyśmy ustalili pewne szczegóły z Treshem.

Przerwał, bo przy jego stole pojawiło się pudło tak wielkie, że całkowicie przesłoniło osobnika, który je przytaszczył.

- Przepraszam, chłopcy, ale chyba mam klienta.

Zza pudła wysunął się mały chłopak, sapnął ciężko i rzucił pudło na ziemię. Potem patrząc podejrzliwie na Dana zapytał:

- Robimy zamianę? Chcę pierwszy numer "Człowieka z Bagien". Daję "Szkaradny Wyciek" - pierwszy i drugi zeszyt.

- Zupełnie sensowna propozycja - kiwnął głową Dan i odwrócił się, żeby znaleźć komiks.

W tym samym czasie mały podniósł pudło i wrzucił je na skraj stołu z takim impetem, że wszystkie cztery nogi złożyły się w jednej chwili.

- Uważaj! - krzyknął Dan.

Rzucił zeszyt "Człowieka z Bagien" i próbował ratować sytuację, ale było za późno. Komiksy rozsypały się po podłodze. Zakłopotany chłopak mamrocząc słowa przeproszenia pomagał je zbierać. DeMento razem z pomocnikami rozstawiali na nowo stół. Chłopak ułożył na nim stos zebranych z ziemi książek i popychając własne pudło, zaczął się oddalać.

- Poczekaj no, kolego - zatrzymał go Dan.

Otworzył karton i sięgnął do środka.

- Mój egzemplarz "Człowieka z Bagien" - powiedział. - Ciekawe, jakim cudem się tu znalazł? Rzucił komiks dzieciakowi w twarz.

- Bierz go sobie i się wynoś. Nie chcę cię tu więcej widzieć!

Chłopak zniknął w jednej chwili, co było nie lada wyczynem, zważywszy ciężar pudła.

- Pewnie przywłaszczył sobie coś więcej - rzucił Dan Trzem Detektywom. - Dlatego trzymam wszystkie cenne okazy z tyłu. Na stole mam tylko byle co. A Frank Carne twierdzi, że jestem oszustem - zaśmiał się.

Jupiter drgnął na wzmiankę o Franku. Niedawny incydent oczyszczał Carne'a z podejrzeń. Frank nie mógł być Szkarłatnym Upiorem, bo pod jego ciężarem stół Dana złożyłby się równie szybko. Czerwony płaszcz musiał okrywać znacznie lżejszą osobę. Czy mogła to być pani Fields?

- Cześć, chłopaki. Zwracam wasze komiksy - usłyszał.

Za nimi stała Rainey z komiksami w ręku.

- Dziękuję - mruknął zażenowany tym, że dopiero co podejrzewał jej matkę. - Jak ci poszedł wywiad?

- Świetnie. Mama była zachwycona, że kazałam dziennikarzom czekać. Uznała, że nareszcie się czegoś nauczyłam. Gdyby знаła prawdziwy powód... - tu Rainey zerknęła na Dana, który nerwowym ruchem przesunął stosy komiksów.. - Chyba musimy porozmawiać.

- Zacznę od tego, że jest mi bardzo przykro. Popełniłem błąd...

Kiedy skończył, Rainey przyjęła przeprosiny. Potem oznajmiła kompletnie zaskoczonemu Jupiterowi:

- Teraz ja muszę przeprosić ciebie. Pomogłeś mi, a ja nawet ci nie podziękowałam. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak walczył - ciągnęła z błyszczącymi oczami i poklepała go po ręce.

- Och... wiesz...no... - jękał się Jupiter pewny, że robi się coraz bardziej czerwony.

Znowu czuł się tak, jakby język przykleił się mu do podniebienia. Co gorsza - wiedział, że Bob i Pete przyglądają się mu ze zdwojoną uwagą. W końcu odciągnął dziewczynę na bok.

- Co powiesz na to, żeby pójść gdzieś razem na lunch? - zapytał.

Niesamowite! Udało się mu powiedzieć to zupełnie normalnie.

- Jasne. Spotkajmy się za dwadzieścia minut w ogródku obok bocznego wejścia - odpowiedziała Rainey i pobiegła.

Jupiter nie wierzył własnemu szczęściu.

- Idę na lunch z Rainey - oznajmił kolegom. - Chyba nie macie nic przeciw temu?

- Ja nie - pokręcił głową Bob. - A nawet gdybym miał coś przeciw temu, jestem pewien, iż umiałbyś tak porwać mnie swoją wymową, że zmieniłbym zdanie.

- Muszę to zapamiętać - dorzucił Pete z niewinną miną. - Jak to było. Bob? "No... och... wiesz... tak". Murowany efekt.

- Bardzo wam dziękuję - mruknął Jupiter i oddalił się z największą godnością, na jaką go było stać w tej chwili.

Rainey pojawiła się dokładnie o czasie. Miała na sobie szorty i podkoszulek. Z krótkimi ciemnymi włosami wyglądała normalnie, ale równie wspaniale jak dotąd.

- Czy to jest twoje przebranie? - zapytał.

- Jakbyś zgadł - uśmiechnęła się i wzięła go pod rękę.

Była trochę wyższa. Na szczęście Jupiter nie zwrócił na to uwagi.

- Jestem taka szczęśliwa, kiedy mogę zrzucić ten głupkowaty kostium - oznajmiła. - Znam tu obok świetne miejsce - mają sałaty, hamburgery i różne takie. A Gwiazdne Dziewczyny nic ich nie obchodzą.

Jupiter zaraz odkrył, że w restauracji mają również kielki lucerny. Rainey też zamówiła sałatkę z kiełkami, ale zjadła ją z dużo większą przyjemnością. No tak! Ona nie musiała żyć dwa tygodnie na samej lucernie!

W książce jego dieta wyglądała łatwo i przyjemnie, i nie wydawała się kłopotliwa. Tymczasem Jupiter nie mógł już patrzeć na kielki, nie mówiąc o trzydziestu paru kilometrach, które miał do nadrobienia.

- Naprawdę zajmujecie się rozwiązywaniem zagadek kryminalnych? - pytała Rainey, oglądając ich wizytówkę.

- Robimy to już ładne kilka lat.

- I ty jesteś założycielem agencji, a tamci dwaj to tylko współpracownicy - Rainey

popatrzyła na niego z uznaniem.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo porcja kielków spadła z widelca na stół. Udało mu się ukryć je za talerzem.

No tak, pomyślał. Co z tego, że normalnie ruszam językiem, kiedy zaczęły mi się trząść ręce!

- To musi być wspaniale mieć takich kolegów! - ciągnęła Rainey. - Ten wysoki - Pete, prawda, wygląda na silnego.

- Bo jest - kiwnął głową Jupe. - Pete to pierwszorzędny sportowiec.

- A Bob? - Rainey pochyliła się ku niemu. - Jaki on jest?

Następna porcja kielków wylądowała na stole. Jupiter westchnął. Powinien był przewidzieć, że wcześniej czy później do tego dojdzie.

Teraz Jupiter opowiadał o sprawach, które udało się rozwiązać im i - Bobowi. Mówił o przestępcach, których złapali oni i - Bob, oczywiście. O trudnych śledztwach, które prowadzili oni i - Bob. Z wielkim trudem udało mu się odciągnąć uwagę Rainey i sprawić, żeby opowiedziała mu coś o sobie.

- Dlaczego wciąż chodzisz w tym głupim kostiumie? - spytał w końcu.

- Trudno wytłumaczyć. Zawsze lubiłam komiksy i mama niezbyt była z tego zadowolona. Aż kiedyś zobaczyła "Stellare, Gwiazdną Dziewczynę" i wpadł jej do głowy pomysł, żeby mnie na nią przerobić.

Tu, niestety, Jupiterowi zabrakło pomysłu na dalszą rozmowę. Był niemal szczęśliwy, że może zapłacić i wyjść.

- Dzięki za lunch - powiedziała Rainey już w hotelu. - Było bardzo miło.

- Uhm. Taak... - język znowu przykleił się Jupiterowi do podniebienia.

- Jeszcze się zobaczymy - Rainey wyciągnęła rękę na pożegnanie. - Będziecie tu jutro, prawda?

O rany. Upokarzający lunch, a teraz konwencjonalny uścisk dłoni.

- Nie wiem, jak długo tu będziemy - mruknął. - Musimy zakończyć sprawę.

Nagle niespodziewanie ścisnął jej rękę.

- Czekaj! - odwrócił jej dłoń i wpatrywał się w czarne litery napisu na stemplu.

- Jupe - próbowała wyrwać rękę. - Co ty robisz?

- Właśnie uświadomiłem sobie coś ważnego. Powinienem dawno to zauważyć!

- Czy to ma związek ze sprawą?

- Wiesz, kiedy Szkarłatny Upiór rzucał bombę, widziałem dokładnie jego ręce.

- No i co z tego?

- To - odpowiedział Jupiter - że na żadnej ręce nie miał pieczętki!

ROZDZIAŁ 14

NIEUDANA TRANSAKCJA

- Musimy poszukać chłopaków! - Jupiter ruszył do drzwi, pociągając Rainey za sobą.

- Daj spokój! - krzyknęła próbując wyswobodzić rękę. - Nie mogę pokazać się w sali tak ubrana. Jeszcze ktoś by mnie rozpoznał! A wtedy mama...

- Wiem - dokończył Jupiter - zabiłaby cię.

- A może powiesz, o co chodzi?

- Mam dowód na to, że złodziej był kimś z wewnątrz. Ja, ty, wszyscy handlarze i cała publiczność mamy na rękach pieczętki. Taki niby bilet. Człowiek, który rzucił dymne pociski, miał czyste ręce. Dokładnie to widziałem. Jak w takim razie wszedł na salę? Musi być kimś z obsługi.

- Teraz rozumiem. Jupe, chciałabym wam pomóc. Zresztą w jakiś sposób jestem wmieszana w tę sprawę. Pójdę na chwilę na górę, żeby się przebrać. Spotkamy się przy stoisku Dana.

- Chcesz, żebym cię odprowadził?

- Nie - zaśmiała się. - Myślę, że tym razem dojadę bezpiecznie.

Jupiter natychmiast wrócił do głównej sali konferencyjnej, prezentując stojącemu w drzwiach gorylowi swój aktualny stempel. Już z daleka zauważył Boba i Pete'a.

- No, no - przywitał go Pete. - A więc Stellara nie porwała cię na inną galaktykę.

- Daj spokój, Pete - powiedział poważnie Bob, z trudem ukrywając uśmiech - przecież widzisz, że Jupe ma nam coś do powiedzenia. Podejrzewam, że w czasie lunchu odkrył jakąś ważną prawdę życiową.

- Odkryłem najważniejszy ślad dla całej sprawy - Jupiter nie dał się sprowokować. - A co ze Steve'em Treshem?

- Czy ktoś mówi o mnie? - usłyszeli niespodzianie głos Tresha.

Uśmiechnięty pisarz podchodził właśnie do stoiska.

- Jeśli tak, to dobrze. Możemy świętować razem. Mam przy sobie - poklepał się po kieszeni - świeżo podpisany kontrakt. Niezależne wydawnictwo zaczyna drukować mój nowy komiks. Niedługo "Major Mayhem" pojawi się w sklepach całego kraju.

- Czyje wydawnictwo? - dopytywał się DeMento.

- Neda Roota. Ned przyjechał do Los Angeles na kongres, więc wszystkie negocjacje prowadziliśmy tu w hotelu, w jego pokoju. W największej tajemnicy wymykałem się na

spotkania.

- Czy to u Neda Roota był pan, kiedy okradzione Dana DeMenta? - zapytał Jupiter.

- Właśnie wchodziłem do sali po naszej pierwszej rozmowie. Resztę już znacie.

- Czy ktoś jeszcze wiedział o tych negocjacjach?

- Nikt. Nie miałem zamiaru zrujnować życia Majorowi Mayhemowi.

- Kim jest Major? - nie wytrzymał Dan DeMento. - Żołnierzem? Najemnikiem? Dużo walczy? A może to gwiazda rocka?

- Nic nie powiem - uśmiechnął się chytrze Tresh. - Zobaczycie sami, kiedy kupicie pierwszy numer.

Potem zwrócił się do Jupitera:

- Dlaczego pytałeś, czy ktoś jeszcze wiedział o moich rozmowach?

- Przemyślałem wszystko - Jupe ściszył głos. - Osoba, która zniszczyła rysunki, a potem na pana napadła, nie miała pojęcia, że zostanie pan w hotelu bez względu na to, co się stanie.

- Czy chcesz przez to powiedzieć - przyłączył się do rozmowy Bob - że ktoś próbował wypłoszyć stąd pana Tresha?

- Właśnie to chcę powiedzieć. Przecież gdyby nie negocjacje, dawno by pana tu nie było, prawda? - zapytał Jupiter.

- Jasne, że tak. Nie wygłaszałbym nawet przemówienia na bankiecie. Wiecie, w pewnej chwili pomyślałem sobie, że Rottweiler coś wywahał...

- Niemożliwe. Ktokolwiek to jest, nie ma pojęcia o negocjacjach. Gdyby wiedział, pan Root też miałby kłopoty. W tej sytuacji myślę, że wszystkie napaści związane są z ukradzionym egzemplarzem "Qupy śmiechu". Nie ma innej możliwości.

Tu Jupiter zwrócił się do Dana:

- Autograf. Pana kolej.

- Jaki autograf? - zaniepokoił się Tresh. - Chyba nie zaczniecie mnie namawiać, żebym coś podpisał.

- Nie, chodzi mi o coś, co już podpisałeś - powiedział szybko Dan.

- Prawdopodobnie podpisałeś - poprawił Jupe.

Tresh nic nie rozumiał.

- Nie zawsze byłeś w konflikcie z Heroic Comics - ciągnął Dan. - Chodzi mi o wcześniejsze czasy. Przecież musiałeś wtedy rozdawać autografy.

- Wtedy byłem tak zavalony robotą, że nie pamiętałem nawet, jak się nazywam. Robiłem wszystkie rysunki i teksty dla Heroic Comics.

- A jeszcze wcześniej?

- Myślicie o Szarym Upiorze? Szarego Upiora tworzyłem jako całkiem nieznaną artystę. Nikt nie prosi o autograf nieznaną artystów.

- Może zapomniałeś - upierał się Dan. - Mogłeś podpisać coś choćby swojej mamie albo dziewczynie...

- Na pewno bym pamiętał - Tresh zmarszczył brwi. - Dalej nie rozumiem, do czego zmierzasz.

- Miałem starą kopię "Qupy śmiechu" z twoim autografem.

- Niemożliwe.

- A jednak. Wielki podpis w poprzek strony.

- Gdybym tylko mógł to zobaczyć...

- Ale pan nie może. Złodziej się o to postarał - wtrącił się Jupiter.

- Umiałbyś mi powiedzieć, jak wyglądał ten autograf? - zwrócił się Tresh do Dana. - Parę razy w życiu zmieniałem podpis. Warto byłoby sprawdzić, czy ktoś nie sfalszował podpisu z ostatnich lat.

- Jestem pewien - zaprotestował DeMento - że facet, który sprzedał mi ten egzemplarz, dobrze wie, jak się podpisujesz.

- A kto to był?

- Leo Rottweiler. Wydawało mi się, że mógł dostać od ciebie coś takiego w czasach, kiedy jeszcze się przyjaźniliście.

- Nigdy się nie przyjaźniliśmy! - wybuchnął Tresh. - Kiedy dla niego pracowałem, byłem młodym, początkującym rysownikiem. To on dał mi raz swój autograf. Spaliłem go zaraz po zerwaniu z Heroic!

- No to skąd miał książkę? - zastanawiał się Bob.

- Na pewno nie ode mnie.

- Najwyższy czas, żeby pogawędzić z panem Rottweilerem - stwierdził Jupiter.

- Miałbym ochotę dać mu dziób - mruknął Tresh, nie zwracając uwagi na zdziwioną minę Rainey, która - już przebrana w błękitny kostium - pojawiła się właśnie przy stoisku.

- Sam bym się chętnie dołączył - powiedział DeMento. - Za jego najnowszy pomysł! Wymyślił, że zaczną przedrukowywać swoje najpopularniejsze stare serie. Ceny oryginalnych książek na pewno spadną. Ludzie tacy jak ja tracą mnóstwo pieniędzy. Ty oczywiście - zwrócił się do Steve'a - nie będziesz mieć z tego ani centa.

- To dlatego zatruwał pan życie Rottweilerowi, kiedy próbował odkupić książkę! - domyślił się Jupiter.

- Jasne. Tylko to mogłem zrobić.

Tymczasem dotarli do stoiska Heroic Comics. Rottweiler rozpromienił się widząc Rainey, ale uśmiech zniknął mu z twarzy, kiedy zobaczył resztę towarzystwa.

- Tresh - powiedział. - Przyszedłeś tu z następnymi pomówieniami?

- Ależ skąd - odezwał się Jupiter nadzwyczaj uprzejmie. - Chcieliśmy się czegoś dowiedzieć o komiksie, który tak bardzo chciał pan odkupić.

- Odkupić? Nie wiem, o czym mówisz! - zaperzył się Rottweiler.

Potem zauważył Dana DeMenta i zamilkł, najwyraźniej zdenerwowany jego obecnością.

- Ależ jestem pewien, że pan wie - ciągnął Jupiter. - Chodzi mi o pierwszy numer "Qupy śmiechu". Dan DeMento poinformował nas, że to pan sprzedał mu ten właśnie egzemplarz.

- Nie rozumiem, do czego prowadzi nasza rozmowa - na twarzy Rottweilera pojawiły się niewielkie czerwone plamy. - Nie zniosę kolejnych absurdałnych oskarżeń.

- Nie, nie - przerwał Jupiter jeszcze bardziej uprzejmym głosem. - Wiemy, że nie mógł pan ukraść komiksu, bo w chwili, kiedy wybuchły dymne pociski, stał pan z Frankiem Carne'em przed salą kinową. Chcemy jedynie wiedzieć, dlaczego tak bardzo panu zależało na tym zakupie.

- Dostałem nową propozycję. Mogłem sprzedać "Qupę śmiechu" ze znacznym zyskiem. To żadne przestępstwo.

- Oczywiście, że nie. Ale transakcja nie doszła do skutku, prawda?

- Nie! Przez niego! - Rottweiler wskazał drżącym palcem na DeMenta. - Zażądał tak absurdałnej ceny, że mój klient się wycofał!

- A kto był tym klientem? - nie wytrzymał Pete.

Rottweiler zagryzł wargi.

- Dlaczego nie chce pan powiedzieć? Przecież z interesu i tak nic nie wyszło.

- Kamikaze Komics - wyjął w końcu przyciśnięty do muru Rottweiler.

- A skąd miał pan książkę? Bo przecież nie ode mnie - wtrącił się Tresh.

- Też z Kamikaze Komics - wymamrotał Rottweiler.

- Nie będziemy dłużej zabierać panu cennego czasu - zakończył rozmowę Jupiter.

Odeszli całą grupą.

- To było bardzo, ale to bardzo interesujące - pokiwał głową Jupiter. - Kamikaze gwałtownie chce mieć komiks z powrotem. Nareszcie układanka zaczyna mi pasować. Jeszcze tylko parę rozmów i mamy złodzieja. Teraz już wiem, gdzie szukać.

ROZDZIAŁ 15

WYPRAWA DO GNIAZDA ŻMIJ

Jupiter ruszył przed siebie w takim tempie, że reszta towarzystwa z trudem za nim nadążała.

- Dokąd idziemy? - zapytała Rainey, kiedy w końcu udało się jej go złapać.

- Wszystkie kłopoty zaczęły się tutaj - Jupiter w końcu przystanął wskazując stoisko Kamikaze Komics, którego prawie nie było widać za zbitym tłumem ludzi.

Takiego zbiegowiska jeszcze nie widzieli! Nie było mowy o tym, żeby podejść bliżej.

- Można by pomyśleć, że rozdają coś za darmo - powiedział Bob.

- Prawie, prawie. Te kasety chodziły wczoraj po trzydzieści dolców. Dzisiaj chcą za nie tylko dziesięć! - usłyszeli od jakiegoś uszczęśliwionego kolekcjonera, który spocony z wysiłku wydostał się właśnie z tłumu.

- To i tak dużo więcej niż są warte - szepnął Jupiter.

Był zaintrygowany. Musiał zobaczyć na własne oczy, czego pozbywa się w takim tempie Kamikaze Komics. Wkręcił się między ostatnie rzędy ludzi i po kilku minutach walki na łokcie utorował sobie drogę do stoiska. Cały personel kręcił się jak w ukropie, podając chętnym komiksy i kasety wideo po prawdziwie okazjnych cenach.

- Czego szukasz, kolego?

Blondyn ze sterczącymi włosami patrzył pytająco na Jupitera.

- Aaa... Czy jest "Stellara, Gwiezdna Dziewczyna"? - tylko to przyszło Jupiterowi do głowy.

- To się nazywa dobry wybór! Oferta specjalna - zeszyty od pierwszego do piątego w jednym pakiecie. Normalna cena - pięćdziesiąt dolarów. Dla ciebie - sprzedawca otaksował wzrokiem chłopca - piętnaście!

Jupe nie miał wyjścia. Wysupłał z kieszeni pieniądze, przyglądając się przy okazji rękom blondyna.

Nie. Ten facet nie mógł przebrać się za Szkarłatnego Upiora. Miał grube paluchy z poobgryzаныmi paznokciami. Poza tym - na wierzchu jego prawej dłoni widniał znajomy stempel KonMiKom-u. Podobnie było z innymi ludźmi zatrudnionymi w stoisku Kamikaze. Żaden nie pasował do obrazu, który Jupe miał w pamięci.

- Jerry, przynieś towar specjalny. Znajdzie się paru chętnych - usłyszał nagle Jupiter.- Trzeba chyba skoczyć do sklepu.

Zastrzygł uszami i tak szybko, jak tylko się dało, wrócił do reszty towarzystwa. Rainey parsknęła śmiechem na widok jego zakupów.

- Później poproszę cię o autograf, ale teraz musimy działać - powiedział. - Czeka nas mała wycieczka krajoznawcza.

- Dokąd?

- Do sklepu Kamikaze Komics. Tutaj sprzedają przede wszystkim te bzdury - Jupiter pomachał komiksami - ale mówili o jakimś specjalnym towarze, który trzeba przywieźć. Może jest aż tak specjalny, że warto było go wcześniej ukraść?

- Jadę z wami - podskoczyła Rainey.

Potem spojrzała na swój kostium.

- Ale chyba jestem nieodpowiednio ubrana...

- Masz - Tresh podał jej swoją kurtkę. - Możemy potrzebować wsparcia istoty z innego świata.

Ruszyli na parking. DeMento, Tresh i Rainey wsiedli do furgonetki, chłopcy pojechali samochodem Pete'a.

- Na pewno wiesz, dokąd jechać? - upewnił się Jupe.

- Jasne. Dan wytłumaczył mi, gdzie to jest. Podobno ich sklepu nie da się przegapić.

I rzeczywiście. Kamikaze Komics zajmował parter czteropiętrowego budynku, ale cały fronton - aż po sam dach, pomalowany był na jaskrawożółty kolor. Na tym tle staczali bitwę uzbrojeni po zęby japońscy wojownicy.

- Proszę. Mamy kamikaze - zaśmiał się Bob.

Narada wojenna odbyła się w ciężarówce.

- Spędzałem tu kiedyś mnóstwo czasu - rozmarzył się Dan. - Byłem młody, właśnie zacząłem zbierać komiksy, a u nich były najniższe ceny.

- No pewnie - powiedział Tresh, rozglądając się dookoła. - Jeśli się ma sklep w takiej zakazanej dzielnicy...

- Na dole handlowali używanymi książkami. Teraz jest tam magazyn - ciągnął Dan. - Musimy jakoś odwrócić ich uwagę, żeby się tam dostać.

- O to się nie martwcie - zaśmiała się Rainey, zdejmując kurtkę Tresha.

Chwilę później Tresh, DeMento i Jupiter weszli do sklepu, udając zwyczajnych klientów. Bob i Pete zostali na ulicy. Po pięciu minutach w środku miała pojawić się Rainey.

Sklep w niczym nie przypominał kwitnącego interesu, do jakiego przyzwyczaili się w hotelu. Między regałami kręciło się dwóch znudzonych sprzedawców i nie więcej niż czworo kupujących. Tu i tam na zakurzonych półkach widać było ślady po zdjętych niedawno

pudłach. Wszystko wyglądało tak, jakby właściciele w dużym pośpiechu zwiłali interes.

Jupiter rozejrzał się w poszukiwaniu Dana. Zauważył go w głębi sklepu. Udając, że przegląda komiksy, poszedł w jego kierunku. Kątem oka zobaczył, że Tresh robi to samo.

Po chwili w wejściu stanęła uśmiechnięta Rainey w swym błyszczącym kostiumie. Tak jak przypuszczali, wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. W tej samej chwili DeMento uchylił drzwi do piwnicy. Bezszelestnie wśliznęli się na schody i prawie po omacku zeszli na dół. Zakurzona czterdziestowatowa żarówka dawała niewiele światła. Ale też nie było czego oglądać - kilka pudeł w rogu, a obok jakaś maszyna rozmontowana na kawałki.

Jupiter wpatrzył się w metalowe części. Na pewno widział już coś podobnego. Ale gdzie? Wytężył pamięć i nagle stanął mu w oczach skład rupieci. Oczywiście! Wuj Tytus przywiózł kiedyś identyczną maszynę ze zlikwidowanej drukarni.

- Wiecie, co to jest? - szepnął. - To stara prasa offsetowa. Ale co oni tutaj drukowali?

Tresh schylił się i podniósł pogniecioną kartkę, która poniewierała się na podłodze.

- Spójrz, Dan - powiedział, kiedy rozprostował papier. - Wiesz, co to?

- Jasne. W dawnych czasach komiksy, które publikowano w gazetach, były drukowane raz na rok w formie książkowej. Czarno-białe wydania, kiepska jakość druku. Ta kartka ma co najmniej pięćdziesiąt lat.

- Nie sądzę - Tresh uważnie przyglądał się wydrukowi. - Stary papier żółknie i się kruszy. Ten wygląda na całkiem nowy.

- Jasne! - podskoczył Jupiter. - Wiemy teraz, czym jest "specjalny towar". Faceci z Kamikaze drukują fałszywki.

- Jakbyś zgadł - odezwał się niespodziewanie głos z góry schodów.

W drzwiach stały trzy męskie sylwetki. W przyćmionym świetle Jupe rozpoznał ochroniarza z ułamanym zębem.

- Próbowałem was ostrzec, chłopaki. Dlatego Długi pofrunął z balkonu. Ale wy nie rozumiecie cienkich aluzji. Grubas wciąż zadawał mnóstwo niepotrzebnych pytań. A Chudy za dużo węszył. I co teraz? Właśnie zamknęliśmy sklep... A ściany są tutaj baardzo grube.

- Purvis, co my mamy robić? - zapytał jeden ze sprzedawców zdenerwowanym głosem.

- No właśnie, Purvis. Słuszne pytanie - Jupiter zachował zimną krew. - Co zamierzasz teraz zrobić?

Musiał grać na zwłokę. Musiał zagadać typa. Lada chwila Bob i Pete zorientują się, że coś jest nie w porządku i przybiegną na pomoc.

- Teraz sobie przypominam - ciągnął, zastanawiając się, czy Rainey jest bezpieczna. -

Nie stałeś na bramce, kiedy Pete został zaatakowany. Dziewczyna od pieczętek wpuszczała ludzi na salę. A ty co? Miałeś przerwę śniadaniową? A może włamywałeś się do pokoju Steve'a Tresha? A wieczorem, po bankiecie? Czy to nie ty tak urządziłeś Tresha?

- Teraz widzę - pokiwał głową Purvis - że szef miał rację. Za dużo myślisz, chłopaczku. Zrobiłeś się niebezpieczny. Sporo wiesz.

- Ale jeszcze nie wszystko - przerwał Jupiter. - Ty nie byłeś Szkarłatnym Upiorem. Masz za tłuste łapska.

Ugryzł się w język, ale było za późno.

- Zaraz się przekonasz, co mogą te tłuste łapska - Purvis uśmiechnął się, prezentując otoczeniu ułamany ząb.

I zza pleców wyciągnął kij baseballowy. Jego pomocnicy zrobili to samo.

ROZDZIAŁ 16

UDERZ I W NOGI!

Jupiter zacisnął pięści i przyjął postawę obronną. Miał niewielkie szansę, ale nie zamierzał poddać się walkowerem. Gdyby tylko udało się spacyfikować jakoś Purvisa... Jego pomocnicy najwyraźniej nie kwapili się do bitki.

Rzecz w tym, że unieszkodliwienie takiego potężnego faceta nie było prostą sprawą. Wystarczyło spojrzeć, jak trzymał kij. Zawodowiec!

Purvis zaczął powoli schodzić ze schodów. Dwaj sprzedawcy zwarli szyki tuż za nim. Jupiter skupił myśli, tak jak uczono go na treningach dzudo. Skoncentrował się, żeby przewidzieć każdy ruch napastnika. Oddychał miarowo i głęboko. Otworzył pięści, gotowy zablokować pierwszy cios.

I wtedy w drzwiach do piwnicy pojawiły się dwie nowe osoby.

- Pete! - zawołał Jupiter. - To ten facet z przodu spuścił cię z balkonu!

- Że też chce ci się próbować takich dziecinnych sztuczek - zaśmiał się nieprzyjemnie Purvis. - Chyba nie myślisz, że dam się nabrać i spojrzę do tyłu.

Zanim skończył mówić, obaj chłopcy rzucili się na sprzedawców. Bob trafił jednego z nich silnym prawym sierpowym. Facet zachwiał się, upadł i stoczył ze schodów. Pete nie zawracał sobie głowy walką. Wyrwał tylko kij baseballowy z rąk drugiego sprzedawcy i ku jego zaskoczeniu oznajmił:

- Zależy mi tylko na tamtym - wskazał kijem Purvisa.

Purvis błyskawicznie ocenił sytuację. Odwrócił się i z okrzykiem zaatakował Pete'a. Wziął szeroki zamach i wycelował w głowę chłopaka. Pete tak niezgrabnie zablokował uderzenie, że kij wypadł mu z rąk. Wtedy drugi sprzedawca otrząsnął się z zaskoczenia i natarł na stojącego obok Boba.

Jupiter wykorzystał moment zamieszania. Skacząc po trzy stopnie naraz, rzucił się w górę. Nagle kij Purvisa przeleciał ze świstem milimetry od jego nosa i z hukiem walnął w drewnianą poręcz. Jupe bezwiednie cofnął głowę, ale nawet nie przystanął. Jedną ręką próbował zablokować kij między poprzeczkami poręczy, drugą złapał nadgarstek Purvisa, żeby wykręcić mu rękę.

Niestety, nie docenił przeciwnika. Purvis natarł na niego całym ciałem i przygwoździł do drewnianej balustrady z taką siłą, że chłopak jęknął z bólu i wypuścił broń. Musiał złapać się poręczy, żeby nie stracić równowagi.

Ze złośliwym rechotem Purvis wywijał kijem nad głową. Potem zamachnął się na Pete'a i Boba, żeby utrzymać ich na dystans, i odwrócił się, by ostatecznie rozprawić się z Jupiterem.

Ku swojemu ogromnemu zdziwieniu nie zastał go tam, gdzie się spodziewał. Jupe nisko skulony, żeby uniknąć uderzenia kijem, parł w górę niczym ludzki pocisk i z całych sił trafił głową w splot słoneczny Purvisa.

- Ouuu! - i wielki zbir poleciał do tyłu prosto w ramiona Pete'a i Boba.

Ale nie poddał się nawet w takiej sytuacji! Bob poczuł na sobie jego pięść.

- Dostyc tego! - zdenerwował się Pete i rzucił się na Purvisa.

Obaj stoczyli się po schodach na sam dół. Pete ciągle był górą. Przycisnął Purvisa do podłogi i usiadł na nim okrakiem.

- Nieźle dostałeś - powiedział z szerokim uśmiechem.- I co teraz powiesz o moim ciosie?

Ale nie spodziewał się żadnej odpowiedzi.

Tymczasem Bob załatwił się z oboma sprzedawcami, którzy siedzieli teraz na schodach. Duch walki całkowicie się z nich ulotnił.

- No, no! - krzyknął Bob z uznaniem do Jupitera, który wciąż masował sobie głowę. - Ten twój ostatni ruch! Co to było? Dżudo?

- Głupota - Jupiter próbował wymacać najboleśniejse miejsce.

- Nieważne, jak to nazwiesz. Byle było skuteczne - wtrącił się zadowolony Pete. - A tak w ogóle, czy możesz nam powiedzieć, dlaczego ci faceci na ciebie napadli?

Jupe wyjaśnił kolegom machinacje Kamikaze Komiks.

-W porządku. I co teraz? Dzwonimy na policję?

- To nie takie proste - odpowiedział Jupe. - Moglibyśmy oskarżyć ich o napad. Ale w ten sposób Griswold nam się wymknie.

- Nie wymknie się. Mamy dowody, że jest fałszerzem.

- Fałszerzem komiksów - wtrącił Tresh. - Za coś takiego nikogo nie postawią przed sądem.

- Ale przecież złamał prawo! - upierał się Pete.

- Można będzie go oskarżyć jedynie o złamanie prawa autorskiego. Za to nie idzie się do więzienia - Jupe podzielał zdanie Tresha. - Ciekawe, dlaczego Griswold zwinął interes? Przy takich zyskach, jakie miał? Patrzcie, nawet rozebrał maszynę do drukowania.

Jupiter rzucił badawcze spojrzenie na obu sprzedawców.

- Co tu jest grane? - zapytał.

- Griswold zaczyna nowy interes, idzie w kolor.

- Kolor? - zdziwił się Tresh. - W to trzeba zainwestować co najmniej dwanaście tysięcy dolarów.

- Będzie drukować na Tajwanie - odezwał się głos spod schodów.

Purvis, związany dla lepszego bezpieczeństwa, zdecydował się mówić.

- Axel wszedł w układ z jakąś szemraną drukarnią na Tajwanie. Książki miały być przerzucane do Stanów jako opakowania importowanej tu porcelany. My mieliśmy pracować jako dystrybutorzy. Świetny interes. Wielkie zyski przy minimalnych nakładach.

- Jak mi przykro, że was nakryliśmy - pokiwał głową Jupe.

Związali pozostałych dwóch typów i zostawili całą trójkę w piwnicy. Potem wyszli, zamykając sklep. Rainey rozpromieniła się na ich widok - w takiej dzielnicy nie było miło siedzieć samej w samochodzie.

- Wszystko w porządku? - dopytywała się. - Okropnie się zdenerwowałam, kiedy tych dwóch wyrzuciło mnie ze sklepu, a Bob z Pete'em zniknęli w piwnicy.

- W porządku - zapewnił ją Jupiter, nie wdając się w szczegóły. - Musimy wracać, zanim Griswold zorientuje się i da nogę.

- Ciekawe, jak go zatrzymamy? - skrzywił się Pete.

- Wiemy, że jest złodziejem. Gdybyśmy tylko mogli złapać go z ukradzionymi komiksami... - rozmarzył się Bob.

Gęsty tłum ludzi kłębił się przed wejściem do sali konferencyjnej. Dwukolorowa dziewczyna pod nieobecność Purvisa musiała stemplować dłonie, przyjmować pieniądze i wpuszczać ludzi do środka. Dwoiła się i troiła z tak nieszczęśliwą miną, że Jupiter nie miał sumienia powiedzieć, że jej pomocnik już się nie pojawi.

- No i co teraz? - Bob popatrzył pytająco na resztę towarzystwa.

- Musimy znaleźć Griswolda, zanim on znajdzie nas - odpowiedział Pete. - Posłał tego goryla w ślad za nami. Domyśli się, że coś jest nie tak, kiedy zobaczy nas bez niego.

- Jasne - kiwnął głową Jupiter. - Musimy też znaleźć komiksy Dana.

- Chłopaki - rozległ się grzmiący głos Franka Carne'a. - Szukam was wszędzie. Co się z wami działo? Macie takie podniecone miny.

- Frank, gdzie jest teraz Griswold? - przerwał mu Tresh.

- A więc miałem rację. Coś się tutaj dzieje - wyszczerzył się Frank. - Czyżby stary Axel znowu coś zmalował?

Nagle Jupiter przypomniał sobie wczorajszą scenę. Griswold przybiegł po napadzie -

zdegenerowany potrzasał rękami. Na jego szczupłych dłoniach nie było żadnej pieczętki. Jasne! Główny organizator kongresu nie musiał płacić za wstęp!

- Wiecie co? - powiedział. - Griswold ma takie dłonie, jak wczorajszy Szkarłatny Upiór: długie, szczupłe, bez stempla na wierzchu. To musiał być on - zmarszczył brwi i pokręcił głową. - Ale dwaj świadkowie utrzymują, że widzieli go, jak wchodził wtedy do sali kinowej...

- Sam go tam widziałem - przypomniał im Frank. - Wpadł na widownię narzekając, że nie pojawił się operator. Próbował rozpocząć projekcję, ale mu się nie udało. Musiał podłożyć swoją torbę pod statyw, żeby wyrównać obraz.

- Torbę! Jaką torbę? - wykrzyknął Jupiter.

- Zwykłą płócienną torbę na ramię. Prawie wszyscy tu takie mają.

- Nie miał jej, kiedy go spotkaliśmy - Pete'owi udzieliło się podniecenie Jupitera.

- A to się działo tuż przed napadem - dorzucił Bob.

- Ciekawe, co miał w środku? - zapytał Jupiter.

- Myślisz, że to mógł być kostium? - Rainey zablęśły oczy.

- Kto wie. Chociaż - Jupiter zmarszczył się znowu - czas się nie zgadza. Nie mógł zdjąć kostiumu i dojść do Złotej Sali tak szybko. Nie ma co, musimy sprawdzić kino.

Pognali zgodnie ze starą instrukcją Huntera: korytarzem prosto, potem w lewo i jeszcze raz w lewo.

- Co za niewygodne dojście - narzekał Tresh.

Zza drzwi sali kinowej dobiegała dramatyczna muzyka, przez którą przebił się głośny kobiecy krzyk:

- Zniszcz go laserem. Rock!

Obok wejścia do kina były drugie drzwi, pozbawione klamki. Jupiter próbował je pchnąć. Nawet nie drgnęły.

- Ciekawe, dokąd prowadzą?

- To wyjście awaryjne - wyjaśnił Carne. - Z drugiej strony jest sala konferencyjna.

Jupiter przyłożył ucho i od razu rozpoznał gwar i zgiełk, do jakiego już przywykł na KonMiKom-ie.

- Wiecie co? To przejście mogłoby bardzo ułatwić sprawę Szkarłatnemu Upiorowi. Przecież ono musi być bardzo blisko stoiska Dana.

- Niemożliwe - zaprotestował Tresh. - Facet musiał się gdzieś przebrać.

- W tym dymie cała sala konferencyjna mogła posłużyć mu za przebieralnię. Rainey - Jupe zwrócił się do dziewczyny - opisz dokładnie jeszcze raz wszystko, co widziałas.

- Coś czerwonego powiewało w powietrzu, a potem zniknęło w dymie. Wydawało mi się, że przy wyjściu, ale - Rainey zamilkła na chwilę - to mogło właściwie dzieć się w tym końcu sali.

- Zerwał z siebie kostium i wepchnął go do torby razem z ukradzionymi komiksami - rozpromienił się Jupiter.

- Ale ja widziałem go w Złotej Sali przed napadem - zaczął Carne.

- Nie przed napadem - sprostował Jupiter. - Przed tym, zanim dowiedział się pan o napadzie.

- Ale - Carne patrzył zakłopotany, po chwili jednak wykrzyknął: - Już rozumiem!

- Ja nie - przyznał Pete.

- Żeby opowiedzieć w kinie, co się stało na kongresie, trzeba przebiec korytarzem długą drogę. Griswold nie musiał tego robić. Skorzystał z wyjścia awaryjnego. Był na sali wcześniej. Nikt nie mógł go o nic podejrzewać - Bob poszedł tropem rozumowania Jupitera.

- Ciekawe, czy torba, którą przyniósł Griswold, jest wciąż pod statywem? - zastanawiał się Jupe.

- Możemy to zaraz sprawdzić - zaproponował Tresh.

- Wolałbym, żeby sam Griswold wziął torbę - pokręcił głową Jupiter. - Trzeba go tutaj ściągnąć pod pretekstem, że coś złego dzieje się z projektorem.

- W tej chwili obsługuje go mój przyjaciel Hunter - wtrącił Carne. - Jaką wiadomość ma przekazać Axelowi?

Jupiter uśmiechnął się.

- Co powiecie o tym: "Projektor się przegrzewa. Może wybuchnąć pożar".

ROZDZIAŁ 17

WYKURZYĆ SZCZURA!

Ktoś gwałtownie otworzył drzwi sali kinowej. Snop światła wpadł do środka. Większość wielbicieli “Asteroidea Rocka” nawet tego nie zauważyła. Niektórzy drzemali w fotelach, inni nie odrywali oczu od ostatecznej rozprawy Rocka z Gungiem, królem Ludzi z Bagien. Tylko kilka głosów zażądało natychmiastowego zamknięcia drzwi.

Szczupły człowiek, którego sylwetka rysowała się na tle wejścia, nic sobie nie robił z okrzyków zdenerwowanych fanów. Pobiegł wprost do projektora, odtrącając po drodze Huntera, i złapał torbę, która leżała pod nogą stołu. Projektor przechylił się na jedną stronę - na ekranie widać było już tylko Rocka mierzącego z lasera. Jego wróg zniknął gdzieś na suficie.

- Co się dzieje? Co pan robi? - teraz protestowali nawet ci, którzy wcześniej smacznie spali.

Krzyki nasiliły się, gdy mężczyzna wyciągnął wreszcie torbę. Na ekranie pojawił się czubek głowy Gunga ozdobiony antenką. Hełm Rocka, podobny do małego akwarium, podskakiwał jak statek podczas burzy, kiedy projektor przechylał się to w jedną, to w drugą stronę.

Tylko kilka osób na widowni zachowało całkowity spokój: Trzej Detektywi, Szalony Dan, Frank Zapchajdziura, Steve Tresh i Rainey Fields otoczyli intruza. Nie było wątpliwości. W migającym świetle zobaczyli Axela Griswolda. Stał, kompletnie zaskoczony, z torbą kurczowo przyciśniętą do piersi. Nagle gwałtownym ruchem wyciągnął z niej małą kulkę.

- Stop! - zawołał Jupiter, ale było już za późno.

Kulka upadła na podłogę i w jednej chwili całą salę spowity kłęby gęstego dymu.

- Pali się! - wrzasnął Griswold.

Prawdziwi wielbiciele “Asteroidea Rocka” nawet tego nie zauważyli, zbyt pochłonięci ustawianiem projektora i regulacją ostrości obrazu, co w tych warunkach wcale nie było proste. Natomiast pseudowielbiciele w panice rzucili się do ucieczki, rozpraszając przy okazji grupę Jupitera. Griswold z miejsca wykorzystał okazję. Odepchnął Rainey, która stała najbliżej, i ruszył w kierunku drzwi. Tratując po drodze kilka osób, przedarł się przez tłum i pobiegł korytarzem do głównego holu.

Ścigający nie tracili go z oczu, chociaż nie mieli pojęcia, dokąd zmierza. Nie

obchodziły go ani windy, ani wyjście z hotelu. Nagle Jupiter zrozumiał!

- Schody! Chce się dostać do schodów przeciwpożarowych!

Pete bez słowa objął prowadzenie. Biegł śladem Griswolda między zdezorionowanymi ludźmi. Znajome trzaśnięcie drzwi oznaczało, że Jupe się nie mylił.

- Zostawcie go! Biegniemy od razu do samochodów - krzyknął Jupiter, gdy już gnali po metalowych schodach.

Za dobrze pamiętał, dlaczego wczorajszej nocy DeMento omal ich nie rozjechał.

Miał rację. Kiedy wpadli na parking, Griswold wskakiwał właśnie do czerwonej corvetty. Zanim Pete uruchomił swojego chevroleta, corvetta z piskiem opon skręcała już na prostą wiodącą do bramy wyjazdowej.

- Jeśli pierwszy znajdzie się na ulicy, to mamy go z głowy - powiedział Pete, wciskając gaz do dechy.

Na szczęście do akcji włączył się Szalony Dan. Jego ciemnozielona ciężarówka z rykiem wytoczyła się zza filara i zablokowała drogę wyjazdową. Griswold przyspieszył i ostro szarpnął kierownicą. Dosłownie o centymetry ominął furgonetkę. Wtedy Dan ruszył za nim i z całej siły wjechał mu w tylny zderzak. Corvetta zatrzęsała się, ale przeskoczyła jakoś przez rampę i znalazła się na ulicy.

Ciężarówka, bogatsza o jedno wgniecenie, ruszyła w pościg. Pete trzymał się tuż za nią. Ich szanse rosły, bo po krótkiej chwili okazało się, że corvetta jest uszkodzona bardziej, niż myśleli. Słysząc było pisk maltretowanej gumy - najwyraźniej uderzony zderzak tarł o oponę. Przy każdej próbie przyspieszenia samochód trząsał się i zgrzytał.

Mimo to Griswold nie zamierzał się poddać. Nie zwracał uwagi na to, że DeMento raz po raz wjeżdżał mu w tył. Wciąż usiłował dodać gazu, skakał z pasa na pas, skutecznie blokując wszystkie próby wyprzedzenia go przez Pete'a.

- Wiecie, ta corvetta bardzo by pasowała do składu rupieci wuja Tytusa - odezwał się Bob.

Miał świętą rację. Wspaniałe, sportowe auto Griswolda - porysowane, z oderwanym zderzakiem i licznymi wgnieceniami, prezentowało się żałośnie. Na domiar złego rozgrzana guma cuchnęła spalenizną, a snopy iskier przyskały na wszystkie strony, kiedy metal dotykał powierzchni jezdni.

W końcu opona nie wytrzymała i pękła z hukiem. Samochód zarzuciło o sto osiemdziesiąt stopni. Rozległ się ryk klaksonów i wściekły pisk hamulców wszystkich nadjeżdżających z przeciwka pojazdów. Mimo to Griswoldowi udało się zapanować nad kierownicą. Kiedy zobaczył, że furgonetka Dana i chevrolet Pete'a biorą go w kleszcze,

podjął błyskawiczną decyzję.

Nie miał nic do stracenia - dodał gazu, corvetta zazgrzytała przeraźliwie i kołysząc się na boki ruszyła pod prąd. Najwyraźniej Griswold postanowił przekroczyć dwa pasy ruchu i skręcić w najbliższą ulicę. DeMento bezskutecznie próbował zajechać mu drogę. Już, już wydawało się, że manewr się powiedzie, kiedy zgasł silnik corvetty. Samochód zatrzymał się tuż za ciężarówką.

Nagle tylne drzwi ciężarówki otworzyły się odsłaniając Rainey Fields, która stała w pozie torreadora z pelerynką w rękach. Była przestraszona, ale zdecydowana. Kiedy Griswold jeszcze raz spróbował się wymknąć, szybkim ruchem zarzuciła błękitną płachtę na przednią szybę jego auta. Efekt był piorunujący - Griswold nie trafił w uliczkę. Zatrzymał się dokładnie na latarni!

Kilka minut później policja przejęła z rąk Trzech Detektywów ślaniającego się na nogach, ale nietkniętego Griswolda, który wciąż przyciskał do siebie torbę z komiksami.

ROZDZIAŁ 18

WSZYSTKO W NORMIE

Wprawdzie Griswold znalazł się w areszcie pod zarzutem kradzieży, ale Kongres Miłośników Komiksów wciąż trwał. Niedziela była trzecim i ostatnim dniem KonMiKom-u. Publiczność nie zawiodła. Poza zamkniętym na głucho stoiskiem Kamikaze Komics, wszystkie inne były obłożone.

Dan DeMento, o którym było głośno w lokalnych "Wiadomościach", miał najwięcej klientów. Rozdał nawet kilka autografów swoim entuzjastom. W tej chwili jego pomocnicy uwijali się jak w ukropie, gdyż szef zajęty był poważną transakcją.

- Prawdę mówiąc, te komiksy mogłyby być w lepszym stanie - perorował. - O, proszę, kilka stron jest pogniecionych. Jeśli się dobrze przyjrzeć okładce, widać, że jest zniszczona. Nie powinieneś rzucać nimi we mnie - uśmiechnął się szeroko do Jupitera.

- Sytuacja tego wymagała - zaśmiał się w odpowiedzi Jupiter. - Kobieta była w niebezpieczeństwie.

DeMento zaczął odliczać dwudziestodolarowe banknoty.

- Umówiliśmy się na trzysta dolarów - oznajmił wręczając chłopcom znacznie wyższą sumę - ale doliczam do tego premię specjalną.

Jupe, Bob i Pete nie wierzyli własnym oczom. Trzymali w rękach osiemset dolarów!

- Jesteś bardzo hojny. Dan - powiedział Jupiter, chowając pieniądze do kieszeni.

- Zaraz tam hojny. Zarobię tyle w ciągu najbliższych piętnastu minut - Dan obrzucił wzrokiem tłum stojący przy stoisku. - A jeśli nie, to odbiję sobie sprzedając wiadomy numer "Qupy śmiechu". To teraz prawdziwy rarytas. Falszywy komiks z fałszywym podpisem, który został ukradziony przez samego fałszerza. Kto wie, może Steve zechce go podpisać?

- Nie prowokuj mnie, Dan. Bądź zadowolony, że tu sterczę i podpisuję inne rzeczy - odezwał się Tresh znad sterty komiksów. - Jeśli dam ci na tym autograf, zażądaj procentu od zysków.

- Ach, ci artyści - westchnął z udanym ubolewaniem Dan. - Wcześniej czy później każdy z nich zamienia się w człowieka interesu.

- Każdy, z wyjątkiem Franka Carne'a. A swoją drogą, gdzie on się podziewa? - rozejrzał się Jupiter.

- Jak to gdzie? - roześmiał się Tresh. - W Złotej Sali. Wygląda na to, że znaleźli coś nowego do podparcia projektora.

- Nie ma co, Griswold wymyślił świetną kryjówkę - powiedział Bob. - Jestem ciekawy, co będzie, kiedy ludzie dowiedzą się o jego oszustwie.

- Dowiedzą się? Już wiedzą - parsknął Dan. - Wszyscy kolekcjonerzy od San Diego po San Francisco rwą włosy z głowy. Ich cenne czarno-białe egzemplarze, kupione okazyjnie od Griswolda, okazały się zwykłymi fałszywkami.

- Słyszałem przed chwilą, w jaki sposób Griswold nabierał klientów. Podobno podchodził do upatrzonej osoby, żeby zasięgnąć opinii o "dopiero co kupionym komiksie". Nawet nie wspominał o autografie, więc każdy myślał, że pierwszy go zauważył, i przechwytywał książkę bez względu na cenę.

- Złapał na tę sztuczkę nawet Lea Rottweilera - dodał Jupiter. - Przestraszył się dopiero wtedy, kiedy dowiedział się, że Leo sprzedał swój egzemplarz "Qupy śmiechu". Steve był już zaproszony na kongres jako gość honorowy, więc oszustwo łatwo mogło wyjść na jaw.

- I wyszłoby, gdybym tylko zobaczył ten podpis - kiwnął głową Tresh.

- Ponieważ Dan nie chciał sprzedać książki, trzeba było ją ukraść. Dlatego Griswold przebrał się za Szkarłatnego Upiora - kończył opowieść Jupe. - Mimo to bał się, że Steve czegoś się dowie i postanowił za wszelką cenę wykurzyć go z kongresu.

- Nie wiedział, że mam tu swoje sprawy do załatwienia.

- A równocześnie udawał, że nam pomaga - powiedział Bob. - Sądził, że jesteśmy kompletnymi głupcami.

- Nie najlepiej wystartowaliśmy - przyznał samokrytycznie Jupiter - więc miał nadzieję nas zmylić. Dlatego podrzucił Rainey komiksy.

- Ale w końcu go namierzeliśmy - zaśmiał się Pete.

- Z niemalą pomocą wszystkich tutaj zebranych. Wielkie dzięki - uśmiechnął się Jupe.

Pożegnali się i ruszyli do wyjścia. W hotelowym holu świeciły się reflektory i pracowały kamery. Rainey Fields - "amerykańska dziewczyna, która w superstylu schwytała przestępcę", w pełnym blasku sławy odbierała komplementy od dziennikarzy.

- Jupe! - rozpromieniła się na jego widok.

- Hm... cześć - wybąkał.

- Nasz złotousty ma znowu dobry dzień - mruknął Bob.

Jupe nie zareagował. Myślał wyłącznie o tym, że Rainey zauważyła tylko jego.

- Zbieram pochwały - mówiła Rainey - a to przecież ty rozwiązałeś zagadkę. Pierwszy domyśliłeś się, kto za tym stoi, i zastawiłeś pułapkę na Griswolda. I udało ci się wydostać z piwnicy... Wiesz, Jupe, ty naprawdę jesteś niesamowity!

-Tak uważasz? Dziękuję - Jupiter zerknął na kolegów i dodał cichszym głosem: - Czy teraz, kiedy kongres się skończył, możemy się jakoś umówić? Gdzie mieszkaś?

- W Portland.

- Masz na myśli Portland w stanie Oregon? - jęknął Jupiter.

- Tak.

- To trochę dalej, niż przewidywałem, ale...

- Kompletny wariat z ciebie - zaśmiała się dziewczyna. - Na pewno wyskoczymy gdzieś razem. Na przykład kiedy będę miała sesje zdjęciowe w Los Angeles.

- Albo kiedy ja wpadnę do Portland - westchnął Jupe.

- Nie bądź taki smutny - zaśmiała się Rainey. - Dzisiaj cały dzień przed nami.

To brzmiało wspaniale.

- Chłopaki, zobaczymy się później - rzucił przez ramię.

- A co z naszą działką? - Bob i Pete nie mogli się doczekać.

Jupiter wręczył im pieniądze.

- Właśnie postanowiłem, co zrobię ze swoją częścią - powiedział uśmiechając się od ucha do ucha. - Spędzam dzień z Rainey i mam zamiar wydać wszystko, co do grosza!